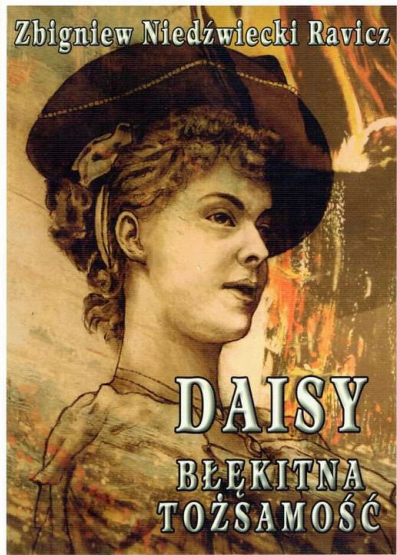


Zbigniew Niedoźwiecki Ravicz



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXV Nr 4(284) Żelów, kwiecień 2020

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Makavali Gonashvili, Zofii Grabowskiej-Andrijew, Barbary Medajskiej, Jerzego Utkina

Andrzej Dębkowski – *Maestro Penderecki*

Leszek Żuliński – *Poezja „nieawangardowa”*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia*

codziennosci oraz Człowiek w świetle przyszłości

prof. Ignacy S. Fiut – *Poeta na granicy*

„bycia bytów”

Kazimierz Ivosse – *Stolica i step*

Stefan Jurkowski – *Chwile z Panią Basią*

Joanna Friedrich – *Stoi na stacji feminatywa.*

Dormant

Andrzej Walter – *Tyle kochanie w tym piekle*

oraz Na przekór codzienności

Janusz Orlikowski – *W kwestii winy*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem (7)*

oraz Utracony raj M. Żureckiej

Leonard Jaworski – *„Wspólna przestrzeń”*

Elżbieta Musiał – *Realizm magiczny w powieści*

Anny Mizgalskiej

Eugeniusz Kurzawa – *Bardzo wyklęte festiwale*

Kinga Młynarska – *Bardziej być*

Jerzy Stasiewicz – *Wiatrem po szkle*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Krzysztof Penderecki
(1933-2020)

Fot. Archiwum Domu Kultury w Żelowie

Kronika

10 lat temu zmarł
Wojciech Siemion

Dziesięć lat temu, 24 kwietnia 2010 roku zmarł **Wojciech Siemion**, wybitny polski aktor i wielki polski recytator. Najwspanialszy przyjaciel poezji i poetów. Ostatni taki, co dbał o kulturę ludową. A robił to jak nikt inny dotąd...

Poznałem go dwadzieścia pięć lat temu w Brzegu. W hotelu „Piaś”. Obaj uczestniczyliśmy w Festiwalu „Najzdł Poetów na Zamek Piastów Śląskich” – organizowanej przez Janusza Wójcika – i tak się stało, że nasze pokoje hotelowe znalazły się obok siebie. Po ciężkim – w wydarzenia artystyczne i literackie – dniu, gdzieś około godziny 22.00, może 22.30, Wojtek zapukał do moich drzwi powiedział, że nikogo tutaj nie zna (mnie zresztą wtedy też nie znał), a ponieważ jesteśmy uczestnikami tego samego przedsięwzięcia literackiego, i mamy pokoje obok siebie, więc zaprasza mnie do siebie na rozmowy o poezji i... „pomarańczówkę”... Byłem zdziwiony, ale trudno było odmówić takiemu człowiekowi. Do końca życia nie zapomnę tego spotkania. Nasze rozmowy trwały chyba do godziny 5.30, a ja już nigdy więcej nie dowiedziałem się tak wiele o poezji, ile podczas tamtej, wspaniałej nocy. Wojtek opowiadał, wspominał i... recytował, recytował i recytował. Słuchałem tego wykładu, jak najęty, z wypiekami na twarzy. On: profesor i jego jedyny wtedy student... W końcu zabrakło Wojtkowej pomarańczówki, więc „egzamin” odbył się już w moim pokoju, przy whisky... To właśnie tam, w skromnych pokojach hotelu „Piaś”, chyba jako jeden z pierwszych wysłuchałem namiastki tego, co później ukazało się drukiem w jego świetnej serii „Lekcja czytania”. A opublikował przecież Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Gałczyńskiego, Wata, Reja, Białoszewskiego, Różewicza...



Foto: Andrzej Dębkowski

A dalej było wiele, wiele spotkań i rozmów: w Petrykozach, Zelowie, Warszawie i wszędzie tam, gdzie „zagnał” nas literacki los. Były listy, telefony i życzenia: świąteczne, urodzinowe, imieninowe i takie bez powodu, jak te, kiedy Wojtek zadzwonił i powiedział: „Andrzeju, wpadnij do mnie, do Petrykoz, muszę z tobą pogadać”. Więc wsiadłem w samochód i popędziłem „gierkówką” w kierunku Mszczonowa... Obchodził 80. rocznicę urodzin. Szykował swój benefis i prosił mnie o pomoc w jego przygotowaniu. To były niezapomniane urodziny, a Wojtek w wymienionej formie. Myślę, że wszyscy uczestnicy tej uroczystości zazdrościli mu żywotności, tego wigoru i tego, co u niego było najważniejsze: wielkiego serca i ciepła, jakim każdego obdarowywał.

Wojtek Siemion zawsze podkreślał swoje

chłopskie pochodzenie, był miłośnikiem polskiego folkloru. W swoim staropolskim dworku w Petrykozach utworzył Wiejską Galerię Sztuki. Jego miłość do kultury ludowej była tak wielka, że nawet większość jego filmowych bohaterów, których grał, miało chłopskie pochodzenie.

Jednak jego największą miłością była poezja, której poświęcał mnóstwo czasu. Ciągłe powtarzał, że „tylko poezja pozwala nam tworzyć to coś, co nazywa się odrębnością narodową. Jeżeli chcemy czuć wspólność narodową, która określa się słowami »Jestem Polakiem«, nie wolno zapominać o tym, że głównym wyznacznikiem naszej odrębności jest język, a ten kształtują nam przede wszystkim poeci...”.

Wtedy w 2010 roku Wojtek Siemion miał znowu przyjechać do Zelowa, na mój benefis. Planowaliśmy już, jakie wiersze będzie czytał. Zadzwonił i powiedział, że ma być także ten, który poświęciłem Tadziewi Cugowowi. Niestety, Wojtek do Zelowa nie przyjechał. Miał wypadek, dwa dni później odszedł. Ale wiem, że teraz, razem z Tadziewem, czytają wiersze na „Niebiańskiej Biesiadzie Literackiej”...

Andrzej Dębkowski



70. urodziny Koprowskiego



Foto: Andrzej Walter

70 lat ukończył **Szymon Koprowski**, pisarz, artysta plastyk. Jest absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Zajmował się grafiką, ilustracją książkową i malarstwem. Jako pisarz debiutował książką pt. *Balkon na końcu świata* (2008). Następnie opublikował: *Uszy van Gogha* (2016) i *Dybuk z ulicy Piotrkowskiej* (2018).

Należy do Dolnośląskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Konkursy

XIII Ogólnopolski Konkurs
na autorską książkę literacką –
Świdnica 2020

Celem konkursu jest możliwość profesjonalnego wydania zgłoszonej do konkursu autorskiej książki literackiej w oryginalnej, atrakcyjnej graficznie i edytorsko formie.

Założeniem konkursu jest napisanie, zaprojektowanie i przygotowanie do druku autorskiej książki literackiej (np. tomik, arkusze poetycki, powieść, zbiór opowiadań itp.) w zgodnym z oczekiwaniami twórcy, atrakcyjnym graficznie i edytorsko opracowaniu. Efektem ma być dzieło w postaci autorskiej książki literackiej przygotowanej zgodnie z wizją autora.

Organizatorem konkursu jest Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Kamila Norwida w Świdnicy.

W konkursie mogą brać udział autorzy, którzy ukończyli 18. rok życia. Konkurs nie jest

anonimowy, prace należy podpisać imieniem i nazwiskiem autora.

W konkursie biorą udział wyłącznie ilustrowane projekty książek. Na konkurs jeden autor może nadesłać jedną zaprojektowaną i przygotowaną do druku autorską książkę literacką, dotychczas nie publikowaną w zwartej formie drukarskiej (np. tomik, arkusze poetycki, powieść, zbiór opowiadań itp.) w dowolnym opracowaniu graficznym wykonanym samodzielnie przez autora tekstu lub z udziałem innych osób. Gatunek literacki i tematyka prac są dowolne.

Projekty należy przygotować w formacie PDF z rozbarwieniem w profilu kolorystycznym CMYK. Należy zachować bezpieczny margines – teksty nie powinny być bliżej niż 6 mm od linii cięcia formatu A5. Wewnętrzny margines minimum 15 mm. Mapy bitowe powinny mieć rozdzielczość 300 dpi. Format pracy konkursowej – A5, objętość do 120 stron razem ze stronami redakcyjnymi oraz okładką (w tym co najmniej 15% ilustracji). Projekt należy nagrać na płytę CD/DVD oraz wydrukować w 5 egzemplarzach.

Do pracy należy dołączyć wypełnioną Kartę Zgłoszenia wraz z oświadczeniami niezbędnymi do przeprowadzenia konkursu. Kartę Zgłoszenia należy pobrać ze strony internetowej Organizatora www.mbp.swidnica.pl.

Jury przyzna tylko jedną nagrodę.

Nagrodę stanowić będzie profesjonalne wydanie zgłoszonej i nagrodzonej autorskiej książki literackiej w nakładzie 500 egz. (w tym 200 egz. otrzyma autor) oraz nagroda pieniężna w wysokości 3000 złotych.

Autor nagrodzonej książki nie otrzyma żadnego dodatkowego honorarium związanego z publikacją książki.

Organizator zastrzega sobie prawo ingerencji w nagrodzony projekt książki związany ze stronami redakcyjnymi.

Jury zastrzega sobie prawo do niewyłonienia zwycięzcy i tym samym niezakwalifikowania książki do druku i nieprzyznania nagrody.

Ostateczna interpretacja regulaminu należy do Organizatora.

Prace wraz z Kartą Zgłoszenia należy przesłać listem poleconym lub dostarczyć osobiście do dnia 31 marca 2020 roku na adres: Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Kamila Norwida w Świdnicy ul. Franciszkańska 18, 58-100 ŚWIDNICA z dopiskiem „KONKURS – ŚWIDNICA 2020”.

Rozstrzygnięcie konkursu, wręczenie nagrody i promocja nagrodzonej książki nastąpi w 2020 roku. Zawiadomienie o wynikach do 15 maja 2020 roku na stronie internetowej Organizatora – www.mbp.swidnica.pl.

Zwrot prac nadesłanych na konkurs autorom, którzy wyrażą takie życzenie zaznaczając odpowiednie pole w Kartce Zgłoszenia oraz wysyłka nagrodzonej książki nastąpi do 31 grudnia 2020 roku.

Organizator zastrzega sobie prawo do bezpłatnej publikacji dowolnie wybranych fragmentów nagrodzonej pracy w prasie i innych mediach w celach promocji konkursu bez powiadamiania autora.

Zgłoszenie do udziału w konkursie przez nadesłanie pracy traktowane jest jako akceptacja wszystkich warunków regulaminu.

Dodatkowe informacje można uzyskać pod nr tel. 74 640 09 46, oraz e-mail: mbp@mbp.swidnica.pl



Andrzej Walter

Tyle kochania w tym piekle

To nie jest zwyczajna książka. To nie są też żadne zwyczajne teksty, które składają się na jakieś rozdziały, na pewną domkniętą całość z piękną okładką, a każdy z tych rozdziałów jest tylko zapisem własnym z czyjejs dramaturgicznej relacji. To nie jest również żadne: opowiadanie, żadna opowieść czy też żadna powieść, nie jest to też absolutnie rzemieślnictwo dziennikarskie i z pewnością nie jest to znów kolejna książka o Holokauście.

To po prostu literacki majstersztyk, dziennikarski Mount Everest i tekst niezwykle pisany stonowaną emocją, z głębokim jednakowoż uczuciem, z jakże wytrawną poetyką i z przeogromnym szacunkiem dla: słowa, człowieka i jego duszy. Nie ma tam: Żyda, Polaka i Niemca, a są zwykli ludzie wpisani w swoje czasy i w ich własne, prywatne piekła. Piekła ocalonych. **Elżbieta Isakiewicz** powinna za tę książkę otrzymać z miejsca i to błyskawicznie, specjalną odmianę Nagrody Nobla przyznaną za wskrzeszanie wartości dzieł literackich wymykających się wszelkim dotychczas zaistniałym kategoriom. Powiedzieć, że język, którym zapisano karty tej książki jest wyjątkowy, to jakby nic nie powiedzieć. To trzeba przeczytać i przeżyć, aby pojąć i zrozumieć to, co uczyniła Pani Elżbieta. Ja będę miał odwagę to powiedzieć, a rzadko już ostatnio daję się ponosić takim emocjom.

Elżbieta Isakiewicz napisała arcyważną książkę i najprawdziwszy z zaistniałych dokument – skarb, nie będący jednocześnie żadnym (tam) dokumentem, który ujawnia i przedstawia czym tak naprawdę i bezstronnie była zagłada narodu żydowskiego. Nie ma w nim żadnych zbędnych słów, żadnej propagandy, polityki, odcieni szarości i niejasności. Nie ma relatywizacji faktów. Jest w zamian głębokie świadectwo, ogromna różnorodność wybranych historii, wszystkie one wydarzyły się bardziej niż naprawdę i wszystkie utkane są jakby w zachwycającą szatę pełni naszego człowieczeństwa. Są dobrzy i źli, wyrachowani i podli, odważni i bojaźliwi, zaangażowani i obojętni, są bogaci i biedni, słowem są wszyscy, którzy tam byli, którzy się temu światu przydarzyli, i którym ten świat się, na ich nieszczęście właśnie wtedy przydarzył w swojej najgorszej z możliwych odsłonie czy wariacie. Ludzie, którym świat dosłownie spadł na głowy i rozpadł się nagle jak domki z kart na wietrze historii i niespotykanej wcześniej nienawiści. Świat, w którym obudzono demony, w którym napisano dwie role: dla katów i dla ofiar, ale jeszcze zatrudniono przy okazji tysiące statystów, których rola przestała być nagle obojętna...

Elżbieta Isakiewicz napisała książkę do bólu prawdziwą, przejmującą, odważną, brawurą wręcz. Co podkreślają niemal wszyscy, napisała książkę bezstronną, na wskroś uczciwą, w swoim wydzwiku niesłuchanie wyważoną, z perfekcyjnie oddanymi detalami przeżytych i przepłakanych czasem relacji. W każdym zdaniu czuje się jednocześnie piekło

raj. Czuje się traumę i ocalenie, radość z przeżycia, smutek i melancholię rozstań, przerażenie i strach wciąż powracające już po kres dni i coś co znakomicie wyraziła Janina (Baran) Ekier:

miałam luksusowe Shoah – zaznałam tyle kochania w tym piekle

Nie wszyscy jednak zaznali. Są historie straszne, zatrważające, powalające nadzieję i ducha, a jednak nawet w tych historiach można odnaleźć siłę i potęgę człowieka w jego przejmującym pędzie ku ocaleniu. Siła świadectwa wytwarza atmosferę wiary, nadziei i miłości, a przede wszystkim jedną z podstawowych prawd tego świata, że na ogrom zła, zawsze i wciąż odnajdziemy jeszcze potężniejszą i bardziej przekonującą siłę dobra, pomocy, niesłuchanej odwagi i hartu ducha, który nakazywał ludziom na dnie zachowywać się: dostojnie, godnie i z klasą (to a propos statystów).

W tej książce nie było potrzeby pisać i przekonywać świata, że za każdą próbę nawet pomocy Żydom podczas niemieckiej okupacji groziła nam, Polakom nie tylko śmierć osobie pomagającej, ale i całej jego rodzinie wraz z najbliższymi. W tej książce jest to po prostu oczywiste i zrozumiałe. Wyobraźnia tej książki jest jakby ponad tym (ponad tego typu ważnymi dylematami). Jest uderzająca w niej z kolei lekkość poprowadzonej narracji, umiejętność zajmującego opowiedzenia historii przeróżnych ocalonych, przy jednoczesnym uwzniośleniu tych relacji prawdami najprostszymi, odwiecznymi i najważniejszymi prawdami, dzięki którym ludzie stają się ludźmi, a ich solidarność bólu i cierpienia prowadzi ich w przedziwne i piękne rejony budowania nowych przyjaźni i mostów pomiędzy narodami. A wszystko to jest jakby uornamentowane cudownym bogactwem: języka i możliwości jego literackiego wykorzystania, w którym do prozy niepostrzeżenie wkracza najprawdziwsza poezja i jakby bezwolna siła jej wyrazu, czy to w lapidarnych metaforach o życiu i śmierci, czy to w subtelnych opisach stanu ducha i umysłu ofiar, czy to w delikatności ujęcia wszelkich relacji międzyludzkich. Nie ma w tej książce żadnej jaskrawości, żadnej kategoryzacji, żadnego zbędnego elementu, żadnej przesady czy jakiejś, zabłąkanej nawet, nad-emocjonalności. Nikogo i niczego się nie ocenia, a jednak wtedy, przy takim nastawieniu i podejściu siła tej podświadomej oceny bywa druzgocąca.

Cała prawda i potęga tych świadectw, 22 opowieści, z których każda wychodzi naprzeciw samej siebie i spogląda w zwierciadło czasu, konstatując, że przecież żaden czas nie ma i nie miał tu nic do powiedzenia, a mówić może jedynie miłość i wiara w ocalenie, wiara w drugiego człowieka, w jego chęć wyciągnięcia pomocnej dłoni i otwartego serca na tę dłoń. Takie książki, nie dość, że pochłania się jednym tchem, to jeszcze zapadają najgłębiej z

możliwych w pamięć, jaźń i świadomość kreując przy okazji własny i autonomiczny pogląd na historyczną całość zaistniałej tragedii. Jednej z największych w dziejach ludzkich. Nie tej hollywoodzko wyolbrzymionej, wynaturzonej i negatywnie nasączonej emanacją nienawiści i złego instynktu (ależ tak, to się świetnie sprzedaje), tylko tej pokazującej, że nie ma takiego zła, którego nie może ocalić choćby jeden sprawiedliwy, wśród narodów świata... a mieliśmy kochani tych sprawiedliwych bardzo wielu, o! bardzo wielu. To, czego dokonali oni przyćmiwa w moim odczuciu, całe to zło, którego byliśmy i jesteśmy do dziś świadkami. Zło nie może zwyciężyć, jest tylko brakiem dobra. Zdziawiająco, jak wielu na swej drodze życia poznałem ludzi narodu żydowskiego, którzy pomimo traum i przejść podzielają jednak ten mój (i nie tylko mój) pogląd, ten pogląd, który usiłuje wskrziesić i przekazać również ta arcyważna książka Elżbiety Isakiewicz „Piekło ocalonych” niedawno wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

Książka ta pokonuje i druzgocznie wręcz swoim poziomem literackim, jakością języka i stylem prowadzenia narracji, pozycję w agrywnym stylu pana Tomasza Grossa i jemu podobnych oświeconych, których jednym z podstawowych celów przyświecających aktywności twórczej jest wyolbrzymienie zła, szpetoty i najniższych ludzkich instynktów. Ja tu nawet nie chciałbym wchodzić w poziom dyskusji wywołanych książkami pana Grossa. W retorykę spowodowaną opublikowaniem takiej literatury i jej przesłania. Będę jednak głosił z całą stanowczością, jak bardzo inna, odmienna i budująca jednocześnie jest atmosfera „Piekła ocalonych”. Ona wcale nie przekonuje, że inne prawdy są złe i nie na miejscu. Po prostu w ogóle nie wchodzi w ich toksyczny wymiar.

Nie sztuką jest babrać się w ranach, uwypluć zło, emanować przemocą. Sztuką jest odnajdywanie dobra. Opisywanie dobra. Umacnianie w człowieku tego, co w nim najlepsze, a nie tego, że upadł. Zawsze bowiem może się podnieść, zawsze możliwa jest moc i potęga wybaczenia i zawsze można się pojednać. Takich przesłań i stanów szukajmy, takim też zaufajmy.

Jarosław Czechowicz, jeden z najlepszych bloggerów literackich w Polsce, absolwent filologii polskiej UJ oraz Podyplomowego Studium Dziennikarstwa i Komunikacji Medialnej UJ, niezależny recenzent; juror konkursu literackiego Wydawnictwa Znak „To się musi POWIEŚĆ” tak scharakteryzował książkę Elżbiety Isakiewicz:

Historie zebrane przez Elżbietę Isakiewicz uległy subtelny modyfikacjom. Autorka wykorzystała swoją wrażliwość literacką i postanowiła ich fragmenty uczynić bardziej poetyckimi. Ta formuła czyni relacje czymś więcej, niż są.

(Dokończenie na stronie 4)

Tyle kochania w tym piekle

(Dokończenie ze strony 3)

Pozwala ujrzeć ich emocjonalną głębię dużo dośladniej. Bardziej empatycznie.

Na początku z dystansem odnosiłem się do tego zabiegu i nie byłem przekonany, czy zwroty typu „magma gorejącego cierpienia” są adekwatne do tego rodzaju zbioru. A jednak dałem się temu wszystkiemu uwieść. Przekonał mnie oryginalny sposób opowiadania o czymś, czego nie da się uwieść w świadomości oraz sumieniu. „Piekle ocalonych” to książka, w której literackie elementy w brawurowy i bardzo mocny sposób podkreślają dosadność pewnych przeżyć oraz doświadczeń. Taki sposób obrazowania broni się, kiedy wydobywa z tytułowego piekła odcienie melancholii, smutku, grozy, a także kondensuje tę niebывałą empatię, która pozwoliła Elżbiecie Isakiewicz na zgromadzenie potworności bolesnych doświadczeń. Ze swoją poetycką delikatnością stają się uniwersalnymi opowieściami o roli przypadku i szczęścia w życiu, ale także o przyzwoitości i hańbie. Nic nie zrównoważy tych motywów bardziej niż literacki język. Tym bardziej, że Isakiewicz zna proporcje i mimo wszystko pozostajemy z bezkompromisowością każdej opowieści. Z jej bólem, ale także nadzieją.”

Przytaczam ten fragment recenzji, li tylko jako potwierdzenie moich słów, mojego zachwytu nad tą propozycją czytelniczą, jako potwierdzenie i argument, że można dać się uwieść lekturze „Piekle ocalonych”, że można dać się przekonać do tego rodzaju narracji i tego typu warsztatu literackiego. To warsztat najwyższych lotów, przy czym jest on: otwarty, bezpretensjonalny i szczery. Kreuje coś więcej niż ważną prawdę. Obdarowuje nas (niejako w bonusie) wytworzeniem kondensacji empatii, co wydaje się przy tak ogrymym czy zgranym temacie wręcz niemożliwe, a jednak okazuje się to prawdziwe. Tę książkę nie tylko się czyta, ją się w swej całości po prostu przeżywa i wchłania. Dla takich doznań i stanów czytelnicznych warto żyć i „marnować czas” na poszerzenie wyobraźni kolejną i znowu kolejną książką. Co jakiś czas odnajduje się perełkę tego typu. I wszystko staje się jasne.

Warto przytoczyć jak wydawca zachęca do tej książki:

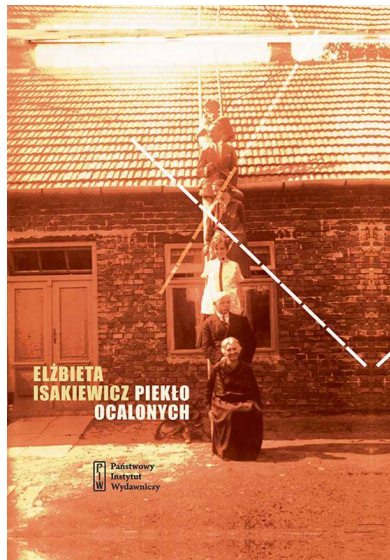
„Piekle ocalonych” to wyjątkowy – bo potwierdzony świadectwem intymnych wyznań – obraz relacji polsko-żydowskich w okresie II wojny światowej. Na najnowszą książkę Elżbiety Isakiewicz (m.in. „Czerwony ołówek”, „Niewyśnione historie”, „Kocio”) składają się 22 teksty, będące osobistymi relacjami obywateli polskich żydowskiego pochodzenia, o tym w jaki sposób i w jakich okolicznościach zostali oni uratowani od śmierci z rąk hitlerowskiego okupanta przez swoich polskich sąsiadów, przyjaciół i przypadkowo spotkanych życzliwych ludzi. Relacje ocalonych, ocalających lub świadków ocalenia kilkanaście lat temu złożyła w nagrodzony

przez Ministra Kultury tom „Ustna harmonijka” – tym razem traumatyczne wspomnienia Elżbiety Isakiewicz poddała artystycznej obróbce i przeniosła ze sfery dokumentu w sferę literatury. Miejskami wypowiedzi bohaterów nabierają walorów dobrze skrojonego dramatu, wręcz scenariusza sensacyjnego filmu, ale takie kompozycyjne czy stylistyczne intruzje narratora w surową opowieść świadków, nie dominują nad całością; przeciwnie, autorka wyraźnie stara się zachować swoistą ascetyczność realnego mówienia, nie komentuje i nie ocenia, co najwyżej do suchych faktów dodaje metaforyczne obrazy, łagodząc, ale też zarazem pogłębiając ich wymowę. Fascynujący tom, który powinien znaleźć się w kanonie lektur szkolnych. W Polsce i w Izraelu.

Książka „Piekle ocalonych” – oprawa twarda –
Wydawnictwo PIW.

Książka posiada 426 stron i została wydana w
2019 r.

A skoro książka winna być naszym przewodnikiem po świecie, początkiem zdobywania naszej o nim wiedzy i informacji, to zgadzam się z Wydawcą w pełnej rozciągłości. Ta książka powinna znaleźć się w kanonie lektur. Czytałem bowiem różne książki na ten temat i bodaj żadna nie wywarła na mnie takiego wrażenia. To niejako dowód na zaprzeczenie tezie, że ... w sztuce „wszystko już było”. Może i było, ale nie znaczy to, iż czegoś nie można zrobić czy pokazać lepiej, nowatorsko, nietuzinkowo, wciąż oryginalnie i odkrywco. Autorka „Piekle ocalonych” tego właśnie dokonała. Wyważyła otwarte drzwi. Weszła na Olimp spektakularnie i szybko. Kim jest zatem ta autorka?



Elżbieta Isakiewicz jest dziennikarką, reporterką, pisarką i publicystką. Szlify dziennikarskie zdobywała w tygodniku „Ita”. Pod koniec lat 80. pracowała krótko w „Tygodniku Solidarność”. W 1991 podjęła pracę w konserwatywnym dzienniku „Nowy Świat”. W 1993 wraz z Piotrem Wierzbickim założyła „Gazetę Polską”, gdzie pełniła funkcję zastępczyni redaktora naczelnego i felietonistki. W 2005 ustąpiła ze stanowiska i wraz z Piotrem Wierzbickim opuściła redakcję. Do początku 2006 była niezależną publicystką, współpracującą m.in. z „Tygo-

dnikiem Powszechnym”. Przez pewien czas pracowała w koncernie Agora SA, wydawcy „Gazety Wyborczej”. Potem została publicystką i reporterką tygodnika „Newsweek Polska”. Od 2 listopada 2007 pracuje w „Tygodniku Powszechnym” (co spowodowało oburzenie części środowiska, współpracującego od lat z redakcją, m.in. odejście Władysława Bartoszewskiego z zespołu pisma). Za swoje książki i reportaże zdobyła liczne nagrody. W 2000 roku otrzymała nagrodę Ministra Kultury za książkę „Ustna harmonijka: Relacje Żydów, których uratowali od Zagłady Polacy”. W 2003 została nominowana do Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza za książkę „Czerwony ołówek. O Polaku, który uratował tysiące Żydów”. W 2006 otrzymała nominację do nagrody Grand Press 2006 w kategorii „reportaż prasowy” za opublikowany w „TP” reportaż „Taniec brzucha w białej sali”, opowiadający o wolontariuszach, którzy w dzieciństwie chorowali na nowotwór, a jako dorośli wrócili na oddział onkologii, by pomagać chorym dzieciom.

Ta krótka biografia ukazuje dobitnie i dośladnie ogromną niekonwencjonalność działań twórczych Pani Elżbiety. Jest jakby potwierdzeniem poszukiwań literackich autorki z dala od ideologii, z dala od zgiełku politycznych konfliktów i sporów, wreszcie z dala od wszelakiego zaangażowania propagandowego. Tej autorce najzwyczajniej w świecie o coś chodzi. Nie o pogląd, ideę, o stanie po czyjejs stronie. Chodzi jej o człowieka i jego życie. O sprawy dlań najważniejsze. O dobro, prawdę i piękno, słowem o wszystko to, o czym już dziś zapomniało gros dziennikarzy w naszym kraju (i nie tylko) zaprzędając swoje ciała i dusze: mamonie, siłom rynkowym i zawsze zależnym lobbującemu siłom i środowiskom. Dziennikarstwo, które stało się dziś albo prostytutką, albo zbrojnym (wciąż jeszcze w pióra) ramieniem tak zwanych elit jest Pani Elżbiecie Isakiewicz całkowicie obce. Jej przyświeca inny cel. Staromodnie poszukiwanie sensów i znaczeń. Wolność, niezależność, esencja dziennikarstwa, esencja pisania, literatury, sztuki i życia. Obróła taką drogę, taki cel i konsekwentnie go realizuje. „Piekle ocalonych” nie dziwi więc, a jest jedynie owocem wytyczonych ścieżek, których Pani Elżbieta, jak sądzę, będzie się już zawsze trzymać i nimi podążać. Można tylko pogratulować i życzyć wytrwałości i przychylności.

Na koniec jeszcze kilka słów o książce. Może jednak nie. Wycofuję się. O książce bowiem powiedziałem już niemal wszystko, za wyjątkiem kilku drobiazgów, które jednak pozostawię dla siebie, w głębi własnych refleksji, do których każdy z nas ma prawo. Zakończę ten być może nadmiernie zachwycony tekst cytatem z ostatnich stron...:

Uczmy nasze dzieci i wszystkich na tej ziemi, że istnieją dobrzy ludzie, tacy jak Henryk Sławik, że jest piękniejszy świat i czeka nas lepsza przyszłość.

Cudowne zakończenie. Słowa chyba dyskretnie odleciały.

Może z piekła do nieba...?

Andrzej Walter

Mniej Więcej (182)



Foto: Zofia Mikuła

Poezja „nie-awangardowa”

To są niezwykle tradycyjne wiersze. Nie jest ich wiele – tomik liczy 32 strony. A na dodatek mamy tu osobliwość: wiersze są pisane rymowanymi kwadrygami. W zasadzie ta konwencja bywa już coraz rzadsza. Ale po raz któryś okazuje się, że dobry wiersz wcale nie musi być „awangardowy”. Liczy się bowiem w poezji sens i treść. I to właśnie jest silna strona Utkina.

Leszek Żuliński

Na początek zacytuję wam wiersz pt. *wiatr historii* najsmętniej opatrzonej sentencją z Herberta: w drugim roku wojny zabili pana od przyrody łobuzy od historii. A teraz przeczytajcie resztę: *historia się powtarza i kołem się toczy / a nawet się zatacza kompletnie pijana / gdy lufy karabinów patrzą prosto w oczy / a nocą brak nadziei by doczekać rana // łobuzy od historii liczą na bezkarność / gdy pana od przyrody stawiają pod ścianą / nie pomoże odwaga ani też ofiarność / tych którzy stawiają opór by otwartą raną // zapisać krew na murze kiedy prosto w serca / wytryśnie a krzyk z gardła zrani błogą ciszą / by poczuł satysfakcję najemny morderca / ofiary wiatr historii do snu ukołysze.*

Dawno już nie czytałem wierszy o takiej zaprzęsłej dykcji. Ale serce mi rośnie, bowiem nowe „tonacje wierszowania” rzadko kiedy pobudzają nas uniesieniem lektury. A tu taki tradycjonalizm?

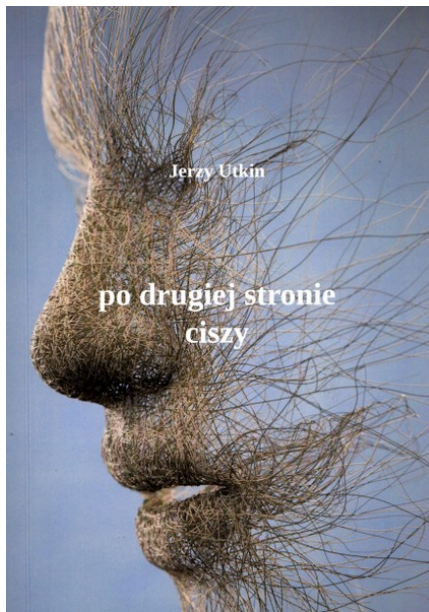
Otóż, jak zawsze, liczy się „tętno wiersza” i jego przesłanie. Tym właśnie Utkin mnie podbił – taki niby anachronizm, a jednak cudownym. To młodym poetom dałbym do przemyślenia, bowiem zbyt wiele czytamy tomików, o których za chwilę zapominamy. Magma ma różne dykcje, ale takie, które nie pozostają w pamięci.

A teraz przeczytajcie wiersz pt. *sto rąk i sto kamieni*. Oto on: *ci którzy więcej wiedzą*

niż ty sam o sobie / brodzą jakże uparcie w plugawym bełkocie / więc wszystko co im mówisz świadczy przeciw tobie / a chcąc się o to spierać grzęzniesz z nim i w błocie // nie znajdziesz więc niczego na swoją obronę / ona jest całkiem zbędna lecz ktoś jest bez winy / kiedy każdy z nich ciągnie tylko w swoją stronę / a ty daremnie szukasz oskarżeń przyczyny // sto rąk i sto kamieni ku tobie się wzniesie / i uderzą lecz w siebie kamień ma swój rozum / ty odjedziesz bez szwanku niktąc gdzieś w bezkresie / na pamiątkę zabierzesz na sercu szron mrozu.

Zawiódł mnie fakt, że Utkin całkowicie zrezygnował z interpunkcji. Na jego miejscu tę „interpunkcyjną tradycję” bym zachował. Ale to już drobiazg... Nie obstaję przy tradycjonalizmie, lecz skoro już, to bym go się trzymał. Jednak nie mnie pouczać Autora. Z prostego powodu: tak czy owak są to wiersze mądre i poruszające. Wnikające w wiele ważnych przesłań.

Nie bez przypadku znajdziecie tu także wiersz, którego tytuł – *po drugiej stronie ciszy* – awansował także na tytuł całego tomiku. No więc cytuję: *po drugiej stronie ciszy ale nie w nas samych / pokuta choć brak winy i kara bez zbrodni / próbujemy otwierać rdzą pokryte bramy / nieustannie gniew tłumiąc wciąż bardziej łagodni // zdajemy się wydawać świadkom naszej kaźni / na stosach i szafotach kiedy krzyk w niebiosa / uderza by się odbiła ogień we włosach / złocistej aureoli blaskiem bliźnich drażni // nie umiemy udawać że nas to nie boli / chociaż zęby zaciskać i pięści w kieszeniach / sposobić do zagrania pisanej nam roli / oddając duszę Bogu dostąpić zbawienia.*



No więc mówię tak: bardzo tradycyjna dykcja, ale bardzo ważne i istotne przesłania.

Jedynie co mi się tutaj nie podobało, to brak interpunkcji. Ta moda się panoszy i myślę, że Autor niepotrzebnie z niej skorzystał.

U nas mamy od wielu lat nawałnicę wierszy. Oczywiście są i znakomite, i dobre, i przeciętne. Co do tego ostatniego dominuje ogromny peleton, co nazwałbym „średnią

krajową”, nie wyróżniającą się z magmy. Jerzy Utkin wybrał „dykcję normalną” i okazało się, że jej przesłania są cenne. Jeszcze raz wygrała zasada, że trzeba mieć coś do powiedzenia. I dlatego ręka mi nie zdrząła, żeby napisać tę recenzję.

Jerzy Utkin, *po drugiej stronie ciszy*. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2020, s. 32.



Jerzy Utkin

modlitwa o kęs chleba

panoszy się ta jesień w każdym skrawku ^{ciała} i chłód przenika tkanek cóż z tego że słońce próbuje nas ogrzewać nam tylko została modlitwa o kęs chleba skoro końca z końcem

nie umiemy już związać bezradni jak dzieci opadamy codziennie z sił i z woli życia a każda nasza prośba zaraz budzi sprzeciw albo czcze obietnice całkiem bez pokrycia

w rzeczywistych zamiarach tych którzy ^{u steru} mają moc kreowania faktów i wydarzeń lecz głusi pozostają na lament frajerów kto dostąpi zbawienia jeszcze się okaże

gówniarze

zestarzeć się z godnością potrafi niewielu gówniarze po czterdziestce i starcy jak dzieci wieczni chłopcy żyjący na kredyt bez celu jedno piwko za drugim i czas jakoś leci

kilka piw jedna wódka tak dla utrwalenia błogostanu nicości bo czego chcieć więcej najlepiej w swoim życiu niczego nie zmieniać i w kieszeniach mieć zawsze wypoczęte ręce

spragnieni byle czego w barze przed ^{ekranem} pogapić się pogadać cóż że nie wynika z gadania żadna korzyść wytrzeźwieć nad ^{ranem} i jak ognia unikać wszelkiego ryzyka



Zofia Grabowska- Andrijew

Bezgłos

Szukam słów zagubionych w nas
Jak je znaleźć, gdy milczycie?

Słowa
pisane, drukowane, wbite do komórki
nie-ma mowa
bez emocji
krzyczą czy szepczą nie wiesz

mów
kreuj i nicuj sensory

* * *

ja człowiek
kości krew i ciało
w nieustannym rozwoju i rozkładzie

we mnie
śpiewający ptak
skrzydłami oklaskuje życie

wokół mnie
rozszerzający się kosmos
rozświetlony potęgą umysłu

przede mną
wielka niewiadoma
w ciszy wszechświata

Tajemnica

Życie człowieka spełnia się w trzech czasach
wspomnień marzeń i mgieł teraźniejszej
chwili
co znika

złóż ten portret z kawałków
jak rozbite lustro
ze słownego tworzywa ledwo się wyłania
zarys ludzkiej twarzy
tej ukrytej we wnętrzu
tej do oglądania

czyja to twarz
jaka

na płótnie blejtramu w jedną się układa
zbiór twarzy
co w ruchu zachodzą na siebie

światło rozmywa kolory i rysy
jak pędzel Sasnala
na płótnie i w słowach
portret tajemnica
bezosobowa plama nierozpoznawalna

to nieuchwytna twarz człowieka
ta z mięsa i kości
i ta wirtualna

Czerwiec 1956

Właściciele fabryk uwłaszczeni dekretem
uzbrojeni w łopaty podnosili z gruzów
most po moście dom po domu
fabrykę po fabryce
świętowali gdy ruszały stworzone ich rękoma
pierwszy tramwaj pierwszy statek
czy lokomotywa

przynosili do domów papierowe złotówki
przynosili do pracy kromki z margaryną
pytali żon czemu bez kiełbasy
pytały żony czemu na nią nie ma
właściciele fabryk
w drelichowych kombinezonach
ruszyli po odpowiedź do swych towarzyszy

i poszli posępni głowa przy głowie
pięści wzniesione gniew narastał w ciszy
na ich pytania świst kul nie odpowie
lecz Polska usłyszy...

Konwersacja polityczna

Słowa – puste balony
wyrzucane ze swadą przez trybunów
fruną z lekkością baniek mydlanych,
co nim prysną, ludzka tęczę

Słowa – garście błota
rzucane w twarze przeciwników
zamieniają je w maski skrywające prawdę
spływają, gdy trafią na miedziane czoła

Słowa – fałszywe banknoty
szeleszczą w ustach wybrańców narodu.
Nimi, jak brudną walutą, płacą za wybór
czekającym na czynny.

Słowa – groty strzał
miotane przez myśliwych
zmieniają oponentów w zwierzynę łowną
co przed nagonką wpada w sidła

Pan Cogito incognito lustruje co po latach

Pan Cogito uwolniony z formy ciała
wyszedł z papierowego domu
gdzie kurzem
opada dławiący pył czasu

zamieszkał incognito z tyłu mojej głowy
i podszeptuje wartości obronę
struną światła dobywa z chaosu
imponującą stabilność przedmiotów
i nieustanne napięcie pomiędzy
codziennym życiem a urodą mitu

najpierw sprawdza schody
dziś na szczycie Fortynbrasa czuwa nad
porządkiem

na stopniach co drugi sławny Incitatus
rży nie przez Kaligulę przez nas mianowany

mali bohaterowie mediów grają tragifarsę
obsadzeni opacznie w rolach mężów stanu
zeszli z progów pałacu na forum boiska
tu w krótkich majtkach i ze „szkiełkiem”

w oku

rozgrywają mecze piłkami obrazu
wbijają beztrósko groźne samobójce
po obu stronach grząskiego boiska

nie dziwi się Pan Cogito
że znów przegrywamy
losowi wyrwane godziny nadziei
Ofelia rozdaje zwiędłe kwiatki marzeń
kamień toczą na dole wiecznie utrudzeni

znowu powiemy za smutnym Hamletem
„Zamiar nasz jest nasz, ale kres nasz nie jest”.

Nie oburzajcie się

nie oburzajcie się gdy
odmownie traktuję wasze zaproszenia
na facebook
nie domagajcie się bym prezentowała
swą prywatność
nie lubię targowisk
tam chodzę tylko po wiejski twaróg
i nie targuję się o cenę
po co mam wrzucać swoje „foty”
na ostatnie sama już nie mogę patrzeć
nie będę do was stroić min
nie ukrywam się przed wami
chcecie poznać moje wnętrze
czytajcie moje wiersze
w nich jestem przenicowana i
naga

Odpowiedzialność

Gdy Noe budował Arkę
potop był dziełem Bożym

teraz wiemy, nie wiemy,
nie chcemy wiedzieć:

ten następny będzie
już tylko naszym

cieplarnianym efektem głupoty.

Tsunami

Ocean
darczyńca wyspiarzy
upomniął się o swoje
z lichwiarskim procentem

na zamulonej plaży
matka
zarzuciła rozpacz na głowę
wypatruje w kołysce fal
czy zbuntowany
nie zwróci jej syna.

Ocala nadzieję.

Barbara Medajska

In:spam

chronię tam twoje
życie

pauzą
spacją
scrolluję rzeczywistość
ością miłość

page down page up
syczy maszynista
pociągi bez kół

delektuj się proszę

garderobiany
po spektaklu
rozbierze mnie
na czas nieokreślony
dla ciebie

gdyby nie dźwięk uderzania
mlaskania wysysania
nie znałabym
ołtarzy wybudowanych dla mnie
przeczyrzeczy
narcyizmu
objętości

a ty dawno wlałeś
sztuczne domy
w kropłówki

Makwala Gonashvili

Samotna

We włosach tej kobiety
miasta, popiołu i dymu zapach.
Wygląda nieuleczalnie
samotność na kocich łapach
Kobieta pali i wydycha
Zadymioną duszę.
Słońce się dopala, kominek dopala,
A w pokoju – duszno.
Spisek liczb, gdzie parzyste i nieparzyste
Trzeci zbędnym uczynili...
Bije północ, nie ma się czym pocieszyć.
Bije północ. Ona nie słyszy

Jesień

I zamilkła ziemia, utraciła
wszystkie wiosenne, hałaśliwe dzieci,
tylko księżyc otarł ze smutkiem

dymno-żółte łyż deszczu.
Wśród gałęzi, nagich i czarnych
jak kolczyk, lecz jaśniejszy niż światło,
liść jeden trząśnięty z rezygnacją,
jak święto, którego nie ma.

Kamienne miasto

Co to za miasto?
Przecież jest tak niebezpieczne
jak trąd i zaraza.
Mieszkają tu od wieków,
jakoś z sobą w zgodzie
cienie i ich martwe domy.
Nic nie pamiętają,
nikogo nie znają,
ponurzy, surowi mężczyźni.
Tylko jakiś pies
czasami szczeka
dlatego, że strzeże swej krwi.
A oczy tych kobiet?
Mrożony szron,
wszystko jest cieplejsze niż ten mglisty
wzrok.
Życzliwość i wierność –
głupie przedmioty.
Tutaj o nich zapomnieli, i milczą.
Jeśli nagle ktoś
osłabnie na chwilę
(i na gałęziach, nawet, korzeniach
banknotów)
przestań robić
głupie ruchy
przechodź obok, niech sobie umiera.
No, dlaczego płaczesz?
Nie szalej,
w tym zrujnowanym miejscu nie ma żywej
duszy.
Przecież dla nich łyż
są gorsze niż zaraza.
Sen i rzeczywistość się zmieszały, a sen ten
jest niezniszczalny.

Transformacja

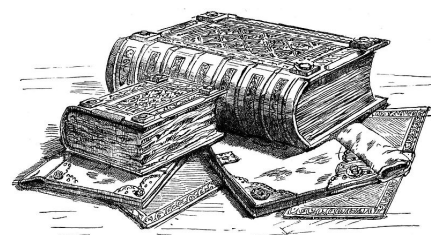
Jak oni się szukali, starania czynili –
Człowiek i Wszchemogący – na siebie
patrzyli...
A w mych dłoniach dwa skrzydła, odcięte –
bój wiodły,
Zdawało się, że wachlarz drżał i biał w
dłoni.
Ja nie pamiętam, nie wiem – kto mi skrzydła
złamał,
Kto zamknął bramę – i niebo zamknęło się w
dalach.
Kto mi dał objawienie – stuustne, stuokie,
A potem oszołomił w ziemi dłoniach
szorstkich...
A ziemia, jak zmęczona matka, jak dziecina,
O uczucie, o słowo, o mój czyn prosiła:
Czasem we śnie krzyczałam, potem się
budziłam,
Lub w wyrzutach sumienia dałam żar
rubinów.
Zazdrościłam projektów, a potem z radością
Rozkładałam dywany z moich czułych
fiołków...
Wtedy się dowiedziałem, czym lot i upadek,
Czym są chytre pokusy, jakie mają twarze.

Lecz gdy niebo odbiło się w stawach
i rowach,
Poczułam, że do kobiet stałam się podobna:
Moje ręce są słabe, i horror drapieźny
Dyszy kobiecą pasją, porywa mnie, więzi.
Czy nie jest znane mądrym i proroczym
niebom,
Że gdy anioł zaginie, złamie skrzydła –
wtedy,
Widząc ziemię i gardząc wszystkim, co
potrzebne,
Zamienia się w żalostną i słabą kobietę.

Wołanie

Matko moja, Ewo, gdzie jesteś? Mamo,
mamo! Ma!!!
Mogłabym się panią świata przed ciemnością
stać.
Umysł mój obejmuje, a Pan przyjmie duszę.
Póki ciało szaleje, a siły – potrójne.
Póki ciało jak słońce i róża w mej piersi,
I lotos u stóp moich, a życie przede mną.
W końcu jestem kobietą, cóż ja mogę, Boże?
Żar wiedzy dreszcze wzbudza, szaleństwo
przywodzi.
I gorzka jest rozkoszna, lecz zatruta słodycz.
Upadnę na kolana, wąż ściśnie mą kibić.
Ile razy me ciało w duszy zaszczepiano,
Jakby skrzydła na ostrym zakręcie łamano.
Jak orzeł nad Tantalem, bies krążył nade
mną,
A ja nie chciałam mąki – tylko miłość
ziemską.
Gdy wchodziłam po szyję w chłodną toń
jeziora
Kochałam tylko miłość – piję do tej pory!
Czy nie wstydzisz się, Boże, swojego
rzemiosła?
Ziemski czas jest ostrożny, ale spada do cna,
Niemądre, biedne dzieci, wciąż
niepocieszone,
Jak wolności i jądła pragną wiary twojej.
Ostatni most, na który wkroczyć nie zdążyli,
Wprowadził ich w trawiaste, śmiertelne
płycizny.
Ewo, a my niezmiennie, po dziesiątkach
wieków,
Jak ciepło wód podskórnych, przecucie
kłopotów.
Tyś początkiem początków wszystkich
ziemskich wcieleń,
W każdym z nich przeżywałaś pierwszy
grzech i wzgardzenie.
Moja matko, me dziecko, jam silniejsza z
tobą!...
Lecz moje ciało boli od stóp aż do głowy.

Tłumaczenie z języka rosyjskiego Kalina Izabela Ziola



Janusz Orlikowski

W kwestii winy

Wina to kwestia naszego sumienia, bowiem rzeczy mają się tak, jak je widzimy. To starożytne odkrycie zawsze pozwalało na snucie domniemań i spostrzeżeń, które temu pojęciu nadawały różne oblicza i kolory. Stąd zawsze możliwa względność winy, a zatem jej autentyczna obecności lub jej brak. Jej rezonans, czyli wspomniane sumienie działa tak samo w obu przypadkach, a gdy jest tylko wyobrażona, paradoksalnie by tak rzec, jeszcze mocniej. To właśnie działanie znakomicie przedstawił Michel de Montaigne: *Zdawało się* (podkreśl. J.O.) *biednemu człeku, że poprzez jego maskę i krzyże na płaszczu może ktoś wyczytać aż w sercu jego tajemne intencje: tak cudowne jest działanie sumienia! Każę nam ono zdradzać, oskarżać samych siebie i w braku innego świadka ono świadczy przeciw nam.* Chyba nikt później nie ujął tego lepiej. Po czym pojawiają się dwa ważne spostrzeżenia: *Ktokolwiek oczekuje kary, cierpi ją; a ktokolwiek na nią zasłużył, oczekuje jej.*

Zanim jednak o tym. Wina, która nam się zdaje. Ileż ona potrafi przysporzyć nam bólu i jakże jest intensywna. Wydaje nam się coś, co nie miało miejsca, a jednak nam się wydaje, że miało lub – (mieć powinno?). Paradoks goni paradoks i udaje rację. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego czujemy się winni czegoś, czego nie zawiniliśmy? Montaigne pisze: *(...) ale istnieje w naszym wnętrzu jakowaś rozdwojenie, które sprawia, iż równocześnie nie wierzymy w to, w co wierzymy, i nie umiemy się wyzwolić z tego co potępiamy.* I tu, wydaje mi się, jest pies pogrzebany. Z natury każdy człowiek jest nastawiony na dobro niezależnie od tego co mówi i jak mówi. Może wręcz udawać wielkiego pesymistę i twierdzić, że tylko zło go otacza i sam się widzieć złym. Gdy jednak tylko znajdzie się ktoś, kto chciałby go z tej drogi zawrócić, będzie w rezultacie i w głębi swego serca oczekiwał zmiany. A zatem w istocie wierzy, tylko z tą wiarą nie potrafi sobie poradzić. Nie widzi drogi, a to na skutek własnego ego i – nieświadomości, choć tym bardziej mu się wydaje, że jest świadomy. Gdzie pojawia się, by tak rzec, ten punkt zapalny, który go tak właśnie obliguje? Łatwo go znaleźć i znajduje go również wspomniany wielki pesymista. To wypadki, zdarzenia, rzeczy, które się dzieją i które by się wydawało są, pisząc kolokwialnie, przeciw nam. A one w istocie wcale tak nie są, gdyż: *(...) rzeczy widzimy dlatego, że się dzieją, a nie dzieją się dlatego że je widzimy* pisze Montaigne. To drgnienie postrzegania jest tu niebywale istotne. To co wokół wcale nie jest, ani dobre, ani złe, co wykazali już starożytni. Jak jednak to drgnienie, spowodować, aby było właśnie takie, było właściwe?

Tu, przede wszystkim, by trzeba porozmawiać z własnym ego. Odbyć z nim solidną rozmowę i podjąć decyzję. Czy nadal będę walczył z wiatrakami, czy też może zdecyduję się inaczej. Czy nadal, w moich własnych oczach, odpowiada mi status biernego, czy czynnego (to tu nieistotne) wojownika, który myśli że wygra, czy też podejmę drogę zupełnie inną? Jaką? *Będąc w niebezpieczeństwie* (bo przecież o takiej sytuacji tu piszę – przyp. J.O.), *nie tyle myślę o tym, jak go uniknę, ile o tym, jak mało znaczącą jest rzeczą, abym go uniknął; gdybym w nim i został, cóż by takiego się stało?* (podkreśl. J.O.) I teraz najistotniejsze: *Nie mogąc kierować wypadkami, kieruję samym sobą; stosuję się do nich, skoro one nie chcą stosować się do mnie.* Czy poprzez ten scenariusz przegrywam ze światem? Pozornie tak. I tym samym takie staje się moje doświadczenie (pozorne), które uczy, że brak jest jakichkolwiek przesłanek bym uniknął cierpienia. I prowadzi mnie do pesymizmu a w konsekwencji i zgnuśnienia, które nic innego nie mówi, a tylko, że tylko moja racja się liczy? Co to za postawa? Co to za upór? Maniactwo wszak nam nie przystoi. Piszę to jako poeta w sile wieku, który przez dziesiątki lat borykał się ze światem. Gdybym wcześniej czytał Montaigne'a. Tylko nie wiem, czy bym go zrozumiał. Stare powiedzenie mówi: wszystko ma swój czas.

Chcę wiedzieć co możliwe o nie zawinionej winie. Chcę wiedzieć o życiu mojego sumienia. Wina, która nam się zdaje. Dlaczego się pojawia i dlaczego tak boli?

Jej znakomita, moim zdaniem, definicję cytowałem wcześniej. Z tym świetnym jej refleksem, czyli sumieniem. Warto ją powtórzyć: *Zdawało się biednemu człeku, że poprzez jego maskę i krzyże na płaszczu może ktoś wyczytać aż w sercu jego tajemne intencje: tak cudowne jest działanie sumienia! Każę nam ono zdradzać, oskarżać samych siebie i w braku innego świadka ono świadczy przeciw nam.* To fakt. To teza. I nie tyle chodzi o udowodnienie jej, bo ona sama się udowadnia, jest swego rodzaju aksjomatem, ile co z tej konstatacji wynika. To słowa: *Ktokolwiek oczekuje kary, cierpi ją; a ktokolwiek na nią zasłużył, oczekuje jej,* które również cytowałem wcześniej. Niczym nie uzasadniona winna objawia się właśnie ciągłym oczekiwaniem kary, wręcz szukaniem jej, powoduje ból i cierpienie; natomiast winna faktyczna nie tworzy takich emocji. Jest paradoksalnie poniekąd czymś przeciwnym. Wiemy, że w sposób nie budzący wątpliwości zawiniliśmy i tylko, i wyłącznie oczekujemy kary, która nam się należy. Różnica polega na tym, że w pierwszym przypadku wszystko rozgrywa się w

sferze wyobrażeń, a w drugim dzieje się w rzeczywistości. Tam rozgrywka opanowuje nasze emocje i również umysł, tu emocje i umysł dotyczące winy w istocie nie mają już nic do powiedzenia, bowiem winna jest niepodważalna. Pozostaje tylko oczekiwanie na karę. Można jedynie wyrazić żal, że się dany postępek popełniło. I tu to jest tylko kwestią naszego sumienia. Ta kara, w tym przypadku, może się pojawić, ale nie musi. To zależy od tego, czy mamy do czynienia z sytuacją prawną, czy też czysto moralną. Niezależnie od tego jaka sytuacja się pojawi sumienie zawsze będzie świadczyc jedno. Będzie mówić. O prawie nie będę się wypowiadał, bo nie mam o tym zielonego pojęcia. Kwestię moralną, w zasadzie już przedstawiłem. Jest tylko możliwy żal, że tak właśnie a nie inaczej się stało. Jest skrucha i na dobrą sprawę nic innego nie możemy zrobić. Żadne, moim zdaniem, zadośćuczynienie nie ma tak właściwie znaczenia. Wszelkie działania będą to w gruncie rzeczy maski, które by winę miały odkupić. Bo cały ten ambaras znajduje się teraz po stronie wobec której winna została popełniona. Opuśczenie winy i spokój jej, również – tu tak to napiszę – sumienia. Dla niektórych to stwierdzenie może wydawać się śmieszne i nie na miejscu. Tym niemniej uważam, że tak dzieje się prawda.

Pozwolę sobie teraz zauważyć rzecz hipotetyczną i która z braku możliwości wykazania (ogrom zjawiska jest zbyt duży) taką pozostanie. Te winy, te zadziory wciąż tkwiące w nas, ten brak rozmowy z własnym ego, powodują że te winy nie ulegają resetowi. Są i wirują wciąż w przestrzeni, przemieszczają się w sposób nie do zidentyfikowania i nic innego nie możemy o nich powiedzieć. Są, dzieją się w potencjalnych, kinetycznych możliwościach zapłodnienia swą obecnością jak złe owady zapładniające złe kwiaty; bo przez ofiary win nie zostały owe winy przebaczone i w sensie ludzkim odpuszczone: One wędrują w przestrzeni ludzkiej jak insekty, niesforne owady i nie wiadomo kiedy i jak, które ciebie będą dotyczyć. Do którego ciała jak nieznoszny komar, czy inne dla nas niesforne stworzenie przyłgnie. Jesteśmy tego zupełnie nieświadomi., bowiem to zawsze dzieje się się poza nami. Stąd też winna, jako taka, albo ta której jesteśmy wręcz ofiarą, przyłgnie do nas jakby była naszą. Tak, to jest możliwe. Czyż nie? Czy czasem tak nam się nie zdaje?

Ot i cała filozofia o winie, która nam się zdaje. Poczucie winy, chociaż winy brak. To to cierpienie i ten ból. Dobrał się do nas ten komar, albo jego kolega tej maści. One nie patrzą na naszą świadomość, na prawdę,

one by tak rzec w sposób naturalny, biologiczny rzec można, tylko się domagają...

A my? A my nie możemy im sprostać. Nie możemy, bo nie wiemy co i jak. Nie możemy wyrazić żalu, czy wyrazić skruchy z powodu popełnionego czynu, bo winy nie ma. Ale rzecz jest i nie mogąc działać się w rzeczywistości, dzieje się w naszej w naszych wyobrażeniach. Stąd cierpi i boli.

Cóż nam to przypomina. Ano nic innego jak tylko zerwanie owocu w Raju. Pierwsza wina, pierwszy grzech, my jako tego konsekwencja. Cierpimy, bowiem Grzech Pierwotny się pojawił. Nastąpiło oddzielenie się duszy od ciała, jak moim zdaniem, znakomicie tłumaczy ten problem ewangelia św. Filipa. Pisałem o tym przedstawieniu w jednym z esejów. Przypomnę najprościej: powstał Grzech na skutek właśnie takiego oddzielenia, a Adam i Ewa to symbole ciała i duszy. Gdyby nie ów rozdział, nie byłoby winy. Gdyby, by tak rzec, każda ofiara winy nie powodowała w sobie tego oddzielenia i gdyby każdy sprawca tego też nie czynił, problem by nie istniał.

Dlaczego tak? Sprawa jest niebywale prosta. Ta pierwsza persona (zgodnie z biblijnym wyobrażeniem) będąc pełnią duszy i ciała na sposób ludzki odpuściłaby winę, natomiast ta druga by się jej po prostu nie dopuściła. Zawiodło, by tak powiedzieć, to rozdzielenie że powstało. Dlaczego się pojawiło? Ano dlatego, że pierwsza uległa impulsowi, ciekawości, podejrzywam. Ten impuls to sprawka złego, węża zgodnie z wyobrażeniem. Druga natomiast, czyli właśnie problem odpuszczenia, już musiało się wiązać choćby ze znikomym zastanowieniem, które nie nastąpiło. I powstała wina. Nie pojawił się równie nagle obraz, który by mówił – nie. Mówiąc wprost, Adam nie zaprzeczył Ewie. Przyłgął do winy, która nie była jego. I dopiero jako ich jedność nastąpiło oddzielenie duszy od ciała.

Wina zatem i jej wyniki nie mogą być kwestią – kto. Niby pojawia się Ewa, jako pierwsza, jej ciekawość, ale też Adam nie musiał. Dusza polegając na emocjach i Ciało mówiąc racjonalnie.

Stąd też my możemy oddzielać to co jest faktycznie naszą winą, od tego co tylko jej wyobrażeniem. Z pomocą przychodzi nam tu ten znakomity myśliciel Montaigne. Powtórzę to po raz trzeci: *Ktokolwiek oczekuje kary cierpi ją; a ktokolwiek na nią zasłużył, oczekuje jej.*

Nie możemy w życiu codziennym kierować się winą, która z natury wyżej przedstawionej cierpi kary. A to z tego prostego powodu, że to nie pozwoli nam widzieć świat inaczej jak poprzez tę ogólnoludzką winę. Wygnanie z Raju nie po to miało miejsce, aby pognębić człowieka, ale po to aby temu pognębieniu mógł się on przeciwstawić, skoro tak mądrzy byli symboliczni Adam i Ewa (czyli dusza i ciało), że im tam w jedności tych dwojga, życie nie odpowiadało, pisząc sarkastycznie. Nie możemy oddzielać duszy od ciała i przeczyć tym samym lapidarnemu i staremu stwierdzeniu, które mi się teraz nasuwa: nie chciej mieć lepszego niż masz. Powiem więcej: wtedy ono samo przyjdzie. Nie wyobrażam

sobie bowiem, aby Bóg nie pozostawił furtki. Byłby przeciw sobie. Bo jak to pomyśleć inaczej. Że skapitulował? Nie wyszło, owszem. Albo, że z tego Raj nic? Nie sądzę.

On wie, że do szczęścia są konieczne pewne warunki, których nie sposób pominąć. Wysłał na tułaczkę, ale i z pewnym pomysłem. Tylko trzeba to zauważyć. A to jedynie jest możliwe w jedności duszy i ciała. Gdy to ma miejsce ofiara winy ma w sobie siłę odpuszczenia, a sprawca nie będzie nim. A jeśli nawet chwilowo ulegnie wężowi oparcie ofiary jest tu niebywale istotne. Jeszcze tylko musi sam sobie przebaczyć i będzie to łatwiejsze, gdy zrozumie, że innej drogi nie ma. To znaczy jest, lecz będzie tworzył coraz bardziej narastającą pętlę radującej się z tego winy. Wąż z dnia na dzień bardziej syty i zadowolony.

Pomyślmy tylko. Tak nie czuć żadnych animozji w stosunku do kogokolwiek. Przecież wtedy wina nie ma możliwości pojawienia się. Jakże wtedy dobrze by się można czuć. Raj na ziemi, by można powiedzieć. Ale w rzeczywistości dzieje się inaczej. Tylko zobacz, że to nie jest wina tych innych, tylko twoja. Dlaczego moja można by się obruszyć? Ano z prostej przyczyny naszego rozumowania. Skoro ja nic innemu, to dlaczego on mnie? Takie zazwyczaj dzieje się myślenie. A tak nie czuć żadnych animozji w stosunku do kogokolwiek. Czy ta pętla ci się podoba? Pomyślmy tylko.

Janusz Orlikowski



Na przekór codziennosci (o poezji Mariana Zembali)

Kiedy rodzi się poezja, to w takiej chwili zatrzymuje się cały świat. Nasze łaknienie piękna zamraża wtedy na ułamki sekund wszystkie trudy trwania i właśnie te chwile, uwieczniane słowem i wyobraźnią twórcy pozwalają poczuć choć na moment niepowtarzalność misterium sztuki. Wtedy każdy może stać się artystą i nagle dotknąć cudu; dosięgnąć hen, do swojego nieba i wnikać w niecodzienne rejony prawdy i wrażliwości. Odrywa się wtedy od ziemi i doznaje być może tego samego dotyku, którym Michał Anioł ukazał stworzenie Adama w środkowej części sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej.

W poezji sytuacja ulega odwróceniu. Oto człowiek staje się stwórcą i jednocześnie występuje wbrew okowom: czasu, losu i przeznaczenia i staje najodważniej naprzeciw własnej przemijalności; zatrzymuje ten

czas: sytuację, przeżycie, stan wyższy swojej duszy, który nie jest przecież stały, a raczej wręcz przeciwnie, jest: unikalny, niezwykle rzadki, płochy i jakże ulotny.

To właśnie dzieje się w poezji Mariana Zembali, w poezji zatrzymanego czasu, w poezji próby zapisu ulotności naszych chwil, zapamiętaniu wyjątkowego wzruszenia, czy czasami wręcz wzburzenia, ale też powiedzmy otwarcie w poezji doznawania wyjątkowości własnego spotkania z kondensacją wrażliwości. Lawina tych uczuć działa niczym katalizator, czynnik poruszający, sprawczy, silniej niż proza codzienności. Następuje nieoczekiwana erupcja słowa i tak oto rodzi się poezja. Poezja uszlachetniona przeszłością, ale i życiem, tym prawdziwym, realnym życiem, którego profesor doznał jakby więcej niż inni, zwykli śmiertelnicy. Powołano go bowiem, jak sam skromnie przyznaje, aby: **ratować, leczyć i przywracać nadzieję.**

Wiersze Zembali nie są monumentalne, barokowe czy wyrafinowane. Są za to do bólu szczere, prawdziwe, fotograficznie czyste i przejrzyste, właściwie jakby poszukujące wciąż swoich korzeni czyli odniesień czy metafor. Są wyrazem życia w swej kulinacji, kiedy dotyka się czasu i siebie samego w zadziwieniu i tej jakże nieodłącznej artyście próbie dzielenia się opłatkiem słowa. Ogromne znaczenie ma tu to prawdziwe, realne życie i poświęcenie go, aż do zatracenia: medycynie i ludzkości. Zauważyliśmy tu zdecydowanie ów niesamowity kontekst sytuacyjny: wydarzenia, spotkania i ludzie, bo najważniejsi dla Zembali są ludzie.

Pogrzb Marka Edelmana, niecodziennosc spotkania z Tadeuszem Różewiczem, olśnienie pooperacyjne jako nagroda za trud i wytrwałość wielogodzinnej walki o życie, kiedy w iluminacji dostrzega się w maleńkim pacjencie samego Boga wcielonego, czy też choćby bardziej przyziemnie – trudna Wigilia roku 2012, kiedy nie było tak, jakby się oczekiwało, kiedy coś drażniło, uwierało, doskwierało. Te wszystkie stany, aż po reminiscencje wspomnień i refleksji nad stanem świata, obecnego kondominium strachu znajdziemy w poezji Mariana Zembali, która broni się jak już wspomniałem koncentracją prawdy i szczerości.

W wierszu „Posłaniec” wybrzmiewają jakże ważne słowa: **Czas, który idzie / nie zrozumie Fausta.** Słowa te jednak, realna przecież i coraz powszechniej podzielana obawa przed nadchodzącym wyraźnie barbarzyństwem przyszłości, nie oddają kontekstu i powagi całego wiersza, który jest jakby hołdem dla ojca współczesnej polskiej poezji Tadeusza Różewicza.

Zapatrzeni w Twoje słowa / Uwierzyliśmy nawet w moc szarości.

I znów, zastanawia tu przenikliwość Mariana Zembali, który w roli poety jakby intuicyjnie odnosi się do setek naukowców już analiz twórczości Tadeusza Różewicza, których przecież jedną z licznych konkluzji jest fakt, że to właśnie On uczynił z nas wszyst-

(Dokończenie na stronie 10)

Na przekór codzienności (o poezji Mariana Zembali)

(Dokończenie ze strony 9)

kich poetów i to mówiących swoim własnym, nowym, odzwierciedlającym współczesność i jej ponowoczesną frazę językiem cienia i szarości. Językiem dekadentckiej depresji i lęku przed wyzwaniem nowego, nieznanego jeszcze wieku. Jakby brzemienne w tragicizm nadchodzących wydarzeń. Nie dziwny się jednak tym właściwościom wyczucia ducha czasów u naszego niecodziennego Autora. Zanurzył się On bowiem nad wyraz głęboko w moc egzystencji, po czym ujarzmił ją brawurowo i do prawie ostatniego tchu stara się aktywnie realizować swoje powołanie.

Tych kilkanaście wierszy uderza swoją prostotą. Ich lapidarność jest ich ogromną siłą w tym samym stopniu co choćby odwaga zwrócenia się i przywołania nieco niestety zapomnianej dziś postaci stańczyka, było, nie było królewskiego błazna, który ma nam wszystkim przywrócić zdrowy rozsądek. Może to jest jakiś pomysł na konflikty, deformację i karykaturalność obecnych czasów, w których hedonizm i siła przewartościowania dobra i zła, a w zasadzie ich defraudacji pojęciowej, przewróciły nam ten świat dół do góry nogami.

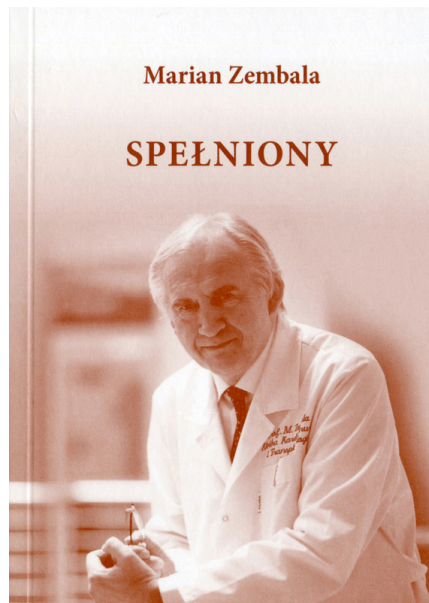
Wreszcie dostrzegam w poezji Mariana Zembali niezwykłą świeżość spojrzenia i ukryty jeszcze potencjał przyszłej twórczości. To Autor, który absolutnie nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, a wręcz przeciwnie – te wiersze to dopiero jak sądzę początek Jego szczerego rozrachunku literackiego z tym światem i stawiania całkiem nowych kroków na niwie choćby i poezji. Przenikliwość obserwacji codzienności, występowanie wbrew tej codzienności, jakby na przekór sztampie, zasadom i regułom, ten tłący się odwieczny bunt ku zmianie świata na lepszy, to są przecież elementarne cechy prawie każdego poety, który rzuci wyzwania nawet samemu Bogu, a potem doznaje procesu własnej ewolucji ku wyciszeniu i stateczności – jak to powiedział inny wielki poeta współczesny *bunt nie przemija, bunt się ustatecznia...* (z Grochowiaka; wiersz „Do S”)

Zabierając doktora Marka / popeliłeś błęd

Te mocne słowa, które padły nad grobem Marka Edelmana niosą za sobą bardzo ważną symbolikę naszego losu. Ileż to już błędów nasz pan Bóg popełnił, i ile jeszcze popełni? A nasze błędy? Naszym błędem jest być może popełnianie poezji, być może próba nazywania nieskończoności czy jakże naiwna próba osiodłania wieczności, a przecież wieczność jest na wyciągnięcie ręki, w każdej chwili, w każdym geście, w każdym spotkaniu z obcym, tu i teraz i właśnie z drugim człowiekiem, w każdej próbie dotknięcia piękna czy

nieuchwytności sztuki.

Marian Zembala w swoich wierszach wystąpił więc jawnie na przekór codzienności, za co mu **sercem i z serca** dziękuję. Codziennosc bowiem to śmierć życia. Im silniejsze poczucie powtarzalnej rytmiki codzienności, tym mniej do życia chęci. W tym kontekście każde moje spotkanie z profesorem Marianem Zembali było jakże niecodzienne. Wymykało się sztampie. Burzyło tę codzienność. Zaburzało każdy schemat i przerywało ciszę. Tak jest i teraz w przypadku wierszy Mariana Zembali.



Czyż nie o to też chodzi w poezji, aby jak najskuteczniej przerwać ciszę...? Aby zmusić do myślenia...? Poezja to coś więcej niż słowa. To każda decyzja, każdy wybór, cała ta, miernie budowana konstrukcja życia, stawiana i przeżywana, na przekór codzienności, na przekór zwyczajności, banalności trwania i na przekór wszystkiemu. To, wreszcie, po emocjach, spotkaniach, doznaniach i doświadczeniach, każda zarejestrowana w świadomości myśl, każda chwila, każdy obraz, aż w końcu każdy nasz wymiar. Chyba tylko w tym sensie – wszystko jest poezja – wedle obrazoburczych słów Edwarda Stachury, z którymi przecież nie sposób się zgodzić. Jednakowoż albo jest w nas dusza poety, albo jej nie ma. Ona się jedynie potem uaktywnia – wobec silnego przeżycia, wstrząsu, rozgrzanych emocji...

Paktujemy na co dzień z pustką, z namiętnościami, z trywialnością Wszechświata. Gryziemy samotność jak czerstwą bułkę egzystencji pomimo tej błyszczącej i propagandowej oferty świata, który proponuje nam zawsze drogę na skróty. Dokąd ta droga? Nie pytajcie Mariana Zembali, gdyż On nigdy na skróty nie chodził. Jego skrót w poezji niesie za sobą pokłady głębi. Jego lekkie pchnięcia szpadą prawdy pozostają w czytelniku i nie goją się. Czytelnika pozostawia jednak głodnym.

To głód „czegoś więcej”, głód piękna i wzruszeń, głód Ikara i smutek Dedala, lęk Kaina, prawdziwa nostalgia Fausta. Oto nowy obraz Doriana Graya. Poezja dziś to coś więcej niż dusza. To coś więcej niż portret,

niż systemy wersowania, gatunki, style i epoki. To coś więcej niż smutek. To niedotykalność. I tego można dopatrzeć się również u Zembali jako kolejnego adepta Mistrza Różewicza. To klucz. Do wieczności, do absolutu, do całej wielowymiarowej prawdy o człowieku. Klucz do najprawdziwszej iluminacji Słowa. Słowa, które ciałem się stało. Czy można, z tak rozumianą poezją uczynić coś jeszcze? Czy można ją ogarnąć, ująć i zrozumieć?

A po co? Niech żyje zwyczajność.

Po co? Zapytam.

I powrócę do słów. Słów, które koją i jednocześnie niepokoją.

Słów, które: **ratują, leczą, przywracają nadzieję.**

Andrzej Walter



„Wspólna przestrzeń”

Podstawą każdego dobrego tomiku wierszy jest pomysł. Pomysłem powinien być temat, czyli kwestia którą autor porusza w swoich wierszach. Wielu literatów pisze o wszystkim i o niczym. Nie można tego powiedzieć o najnowszej książce **Krystyny Mazur** pt. *Wspólna przestrzeń*. Autorka znalazła znakomity pomysł na napisane ciekawej książki poetyckiej i perfekcyjnie z zadania się wywiązała. Książka o której mowa nie jest łatwa w odbiorze dla nieobezanego ze współczesnymi nurtami poetyckimi czytelnika. Jest to rodzaj liryki być może dla nielicznych, dla tych którzy cenią sobie poetyckie neologizmy. Poetka bawi się słowem, a równocześnie mocnym głosem uświadamiana nam, że nie jesteśmy sami na Ziemi. Motto pisarki ujawnia nam owo poetyckie przesłanie: *Odnajdując w sobie ślady zwierząt / wychodzę z labiryntu / w krąg wspólnoty.*

Metafory w wierszach pani Krystyny są starannie wyszukane i dopasowane do przesłania. Jest tu refleksja na temat tego, że dzielimy życiową przestrzeń ze zwierzętami, a nawet owadami i pajęczakami, którym powinniśmy okazywać zrozumienie i szacunek. My – Ludzie świadomi swojej pozycji na trzeciej planecie od słońca, wyróżnieni tytułem Homo sapiens winniśmy ogarnąć żywotnością wszystkie stworzenia w naszej, wspólnej przestrzeni. W wierszu: Nie wilków się bójcie nasza poetka pisze: *Las zamyka oczy / Wadera wpatrzona w księżyc / nie opowiada nam bajek wyjąc / ...i dalej: Zanim usniemy matka przestrzega / nie wilków się bójcie Nie wilków.*

Autorkę książki cechuje wrażliwość dopełniona etyką, która ujawnia potrzebę sprawiedliwego dzielenia naturalnego środowiska z mniejszymi współlokatorami ziemskiego Domu. Od najdawniejszy lat czło-

wiek współlistniał ze zwierzętami w różny sposób je traktując. Naczelnym przesłaniem tych tekstów staje się problematyka empatii w stosunku do „braci mniejszych”. To ta umiejętność mogłaby wspólną przestrzeń uczynić znośniejszą.

Dojmującą formą jej wierszy jest czas teraźniejszy w pierwszej osobie. Tutaj poetka mówi do nas głosem wilka:

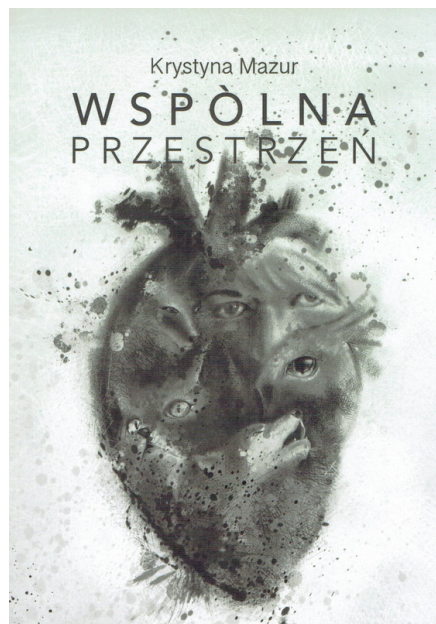
Początek

*Bywam zwierzyzną łowną
jak i myśliwym walczącym o pokarm
oraz prawo do życia*

*Od kiedy dominuje człowiek
dzień należy do ludzi
a noc do nas – canis lupus*

Zastanawia też cytat z Proroka Izajasza, że nadejdą kiedyś takie czasy, gdy drapieżnicy zaprzyjaźnią się ze swoimi ofiarami. Może czas ten jest już bliski? Przypomnienie problemu współzależności terytorialnej jest szczególnie potrzebne w naszych zurbanizowanych czasach, gdy konsumpcjonizm kieruje naszymi myślami i zachowaniami. Czytając książkę pani Krystyny Mazur czuję potrzebę własnej przemiany, chciałbym przenieść się w inne – lepsze rejony imitacji. Poza tym przywoływanie takich przeciwności potrzebne jest sztuce naszych czasów, a przede wszystkim nam samym.

Leonard Jaworski



Krystyna Mazur, *Wspólna przestrzeń*. Redakcja: Krystyna Mazur, Bogdan Zdanowicz. Ilustracje i okładka: Dorota Mazur. Wydawca: Samorządowa Agencja Promocji i Kultury w Szczecinku, Szczecinek 2019, s. 48.

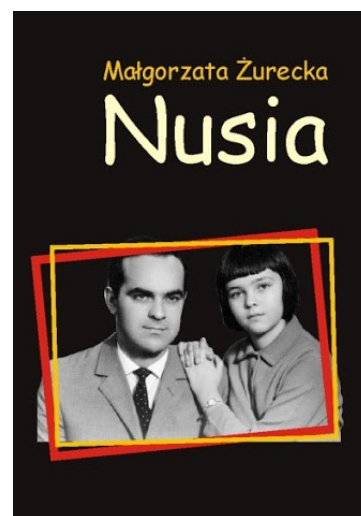


Utracony raj M. Żureckiej

Małgorzata Żurecka, poetka i wiceprezes rzeszowskiego oddziału ZLP wydała niedawno w Podkarpackim Instytucie Książki i Marketingu powieść „Nusia”. Jej bohaterką jest dziewczynka, Nusia, którą oglądamy najpierw w wieku przedszkolnym, a potem - szkolnym. Można z wielu szczegółów domyślać się, że to powieść poniekąd autobiograficzna, oparta o wspomnienia z czasów dzieciństwa spędzonego przede wszystkim na wsi. Książka ma jednak o wiele ambitniejsze cele: jest to nie tylko nostalgicznym wspomnieniem bliskich, opisu ówczesnej wsi czy miasteczka oraz uroków sielskiego życia spędzonego pod okiem babci, ale to także opowieść o dojrzewaniu, wcale nie łatwym, bo w rodzinie, gdzie jedno z rodziców – ojciec, jest uzależniony od alkoholu. Bohaterka powieści nastoletnia dziewczynka, jest świadkiem wielu awantur i konfliktów, które są dla niej wielkim osobistym dramatem, nawet tragedią, tym bardziej że kocha obu rodziców, choć bardziej związana jest jednak z matką, która ją wychowuje. Dlatego Nusia chętnie jeździ do swej babci Wiesi na wieś, bywa tam w każde ferie czy wakacje, a także podczas długotrwałej choroby matki, walczącej z gruźlicą, by uciec od domowych konfliktów i rodzinnych awantur, nacieszyć się spokojem i urokiem wiejskich wyczasów. Tam bowiem pod czułą opieką babci, pośród koleżanek i przepięknej przyrody, czuje się najlepiej i zapomina o wszystkich przykrościach, które spotyka w swoim „małym”, a jakże bogatym w sferze uczuciowości życiu. W miarę dojrzewania, przybywania lat spotykają ją coraz ciekawsze i liczniejsze „przygody”. Poznaje nowych ludzi, nowe koleżanki i dawne obojętne, które na wsi są szczególnie kultywowane. Cieszy się też wolnością, której na ogół pozbawione są dzieci żyjące w miejskich blokowiskach, zamknięte w czterech ścianach, gdyż relacje sąsiedzkie w miastach są też zupełnie inne niż na wsi. Wieś kojarzy się Nusii przede wszystkim z kochaną babcią Wiesią i z jej dziećmi, typowymi dlatego tego wieku przygodami. W miarę dojrzewania są to nie tylko dziecinne, niewinne zabawy, ale rodzi się także na kolonii pierwsza młodzieńcza miłość, choć jeszcze zapewne platoniczna. Nowe doświadczenia spotykają bohaterkę powieści, gdy trafia nieoczekiwanie do prewenterium przeciwgruźliczego dla dzieci. Spędza tam kilka miesięcy, ucząc się i wracając do zdrowia. Mimo osobistego dramatu, jaki wiąże się z tą chorobą, wraca szczęśliwie do domu dojrzalsza i bogatsza o nowe przeżycia. Nusię przy końcu powieści dotyka też w pewnym momencie świat dorosłych, którego dotychczas nie znała. Dzieje się to wtedy, gdy przyjeżdża do jej rodziny świeżo upieczony maturzysta i niedoszły kleryk z zaburzeniami seksualnymi, próbujący ją rzekomo w formie zabawy molestować. Przeżywa wtedy szok, gdy zostaje naruszona jej intymność. Oczywiście,

wszystkie przygody, które jej się przydarzają, wywołują różne emocje, począwszy od gniewu i złości, aż po wielką radość i euforię. Powrót do dzieciństwa kojarzy się Żureckiej jednak przede wszystkim ze wsią, która dla niej była, mimo wielkiej jeszcze biedy, prawdziwym rajem, do którego tęskni się, nostalgicznie wraca potem przez całe dorosłe życie. Choć nie był to raj w sensie materialnym, bo była wówczas jeszcze wielka cywilizacyjna mizéria, niezauważalna co prawda dla dziecka, które żyje czym innym, kojarzy się on raczej w powieści Żureckiej – z bliskością przyrody, uczestnictwem w życiu wiejskiej zbiorowości, poznawaniu obyczajów i żywej jeszcze na ówczesnej wsi tradycji. Bo wieś opisywana w „Nusi” jest jeszcze bardzo tradycyjna, religijna i jednocześnie zintegrowana. Świadczy o tym wiele powieściowych epizodów, choćby powitanie pielgrzymów wracających z Kalwarii Pałacowskiej, czy obrzędy wielkanocne, pogrzebowe oraz inne. Pewnie już takiej wsi na Podkarpaciu dziś nie znajdzie, ale jest za to opisana i przywołana w książce Żureckiej. Powieść wyróżnia się znakomitą znajomością realiów z lat 60, szczególnie wsi, choć nie tylko. Mamy w niej także obraz miasta i szarego życia w blokowiskach, co prawda już z fazy i centralnym ogrzewaniem, choć wyobraźnia dziecka jakby tego nie zauważa. Inaczej odbiera ono otaczający świat niż my dorośli. Świat materialny mało go interesuje. Większą radość sprawia mu pluszowy miś, dany na gwiazdkę czy urodziny przez kogoś bliskiego niż jakieś drogie gadżety, którymi się dziś obdarza dzieci z różnych okazji. Pragnienia Nusii są bardzo skromne. Cieszy się każdą drobną rzeczą kupioną dla niej przez rodziców. Podobne wymagania ma, gdy chodzi o zabawki, Nusia ze swoim miśkiem się nie rozstaje, nawet gdy idzie spać. Bo to nie tylko maskotka, ale coś dla niej bliskiego. Dlatego warto ten świat obejrzyć jeszcze raz i podumać nad przemianami cywilizacyjnymi, nad psychiką i wrażliwością dziecka. Zachęcam do lektury „Nusi”. Nie będzie to czas stracony.

Mirosław Osowski



Małgorzata Żurecka, „Nusia”. Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2019.

Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Stolica i step

W jednym z wywiadów (rozmawiała Ewelina Puczek) **Karl Dedecius** stwierdził: „W polskiej kulturze panuje układ bizantyjski. Warszawa wszystko zgarnia dla siebie, a reszta kraju pograża się w nędzy i głupocie”. Patrząc w perspektywie minionych lat, nic dodać, nic ująć. I tak jest z tym do dzisiaj. „Stolica i step...”, to z podtytułu wywiadu zamieszczonego w „Kulturze” z 1995 roku.

Profesor Karl Dedecius, znakomity tłumacz i były dyrektor niemieckiego Instytutu Polskiego w Darmstadt miał rację i prawdą jest, że to on wielokrotnie apelował z Niemiec do ówczesnych władz w naszym kraju, aby zaprzestały dyskryminować swoich naukowców, którzy zmuszeni byli zdobyć w Polsce wiedzę, sprzedawać za granicę. Z tymi też władzami wiele lat walczył o podkrakowską willę Decjusa pragnąc, aby stała się ona swego rodzaju akademią humanistów, ściągając do Polski uczonych z całego świata. Bywając od czasu do czasu w Polsce miał okazję gościć w takich „domach” spotkań ludzi nauki i kultury stwierdzając, iż nie służyły żadnej konkretnej pracy i gdzie jedynie serwowano kawę i... wódkę.



Rys. Kazimierz Ivosse

Dedecius marzył z oddalenia o tym, aby powstało właśnie u nas aktywnie działające forum międzynarodowe oczywiście za sprawą odbudowanej willi i aby Warszawa mogła w tym Krakowowi. Przy okazji przeżuwał, że Polacy raz jeszcze ruszą stary temat, tym razem w sferze kultury... Drang nach Osten. Na straży jednak w tym czasie w kraju stała... centralizacja, która dla kultury była niczym ciemny grób i stąd to jego

stwierdzenie, o bizantyjskiej sytuacji. Porównywał w tej mierze sytuację w Niemczech, gdzie za sprawą istnienia ongiś tam 70 księstw dbających każde o własne interesy m.in. w sferze szeroko pojętej kultury. Zarzucał nam, Polakom, że „trwamy w przekonaniu, iż kultura narodowa to tylko pula arcydzieł zgrupowanych na liście lektur szkolnych i to, że u nas nie docenia się roli instytucji kulturalnych i ich funkcji właśnie na prowincji, co było megalomanią Polaków”.

Miał rację także w tym, iż uważał wówczas przed zjednoczeniem Niemiec, że stosunki niemiecko-polskie mogą stać się w przyszłości jeszcze bardziej skomplikowane i nie miał co do tego wątpliwości. I czy tak nie jest w zjednoczonej Europie? Uważał, że w NRD przyjaźń traktowano nakazowo i jeszcze gorzej, gdyż większość społeczeństwa byłej NRD to rewizjoniści. Już wówczas był zdania, że w rezultacie takiej sytuacji w każdej niemieckiej gazecie pełno będzie negatywnych informacji o Polakach. Czyż nie dostrzegamy tego i dzisiaj jeszcze? Karla Dedeciusa spotkałem w Niemczech parę razy. Byłem autorem powieści biograficznej „Było, przeminęło w milczeniu” wydanej na KUL-u. Wysłałem mu egzemplarz, a on odpisał krótko: „Nie jestem godzien”. Człowiek ze wszech miar zasłużony dla kultury polskiej. Był wielokrotnie nagradzany tłumaczem i popularyzatorem literatury polskiej właśnie w Niemczech, wydawca utworów, m.in.: Gałczyńskiego, Różewicza czy Leca. Nade wszystko Czesława Miłosza, którego kandydaturę zgłosił do literackiej Nagrody Nobla. Jest faktem, że kawał swojego życia starał się jak najlepiej wykorzystać dla Polski. Powiedział kiedyś: „Starałem się jak najlepiej swój czas wykorzystać dla Polski, a jedynie co mogłem zrobić, to zajmować się tu w Niemczech polską literaturą”. I chwala za to Karlowi Dedeciusowi, przecież urodzonemu w 1921 roku w Łodzi.

Kazimierz Ivosse

Od redakcji: Karl Dedecius wielokrotnie przybywał w Żelowie, głównie w latach dwutysięcznych. To stąd pochodzi jego najbliższa rodzina. Wspomina o tym w swoich wspomnieniach, jak to przed 1938 rokiem wielokrotnie przyjeżdżał do swojej babci do podzelowskich Pożdżenic.

Człowiek w świetle przyszłości

Profesor **Wojciech F. Pomykało** jest postacią na tyle znaną, że nie wymaga przedstawienia. Przypomnę jedynie, że ten wybitny pedagog był twórcą działającego nie tak

dawno Uniwersytetu Telewizyjnego. Prowadził w nim wykłady znakomici uczeni. Zła wola decydentów doprowadziła do jego absurdalnej likwidacji. Zwrócić też na wstępie uwagę na publikację nieco mniej typową dla prof. Pomykała, ale bliską pedagogice. Mam na myśli "Encyklopedię chińskiej wiedzy o seksie i seksuologii". Została wydana w 2011 roku pod redakcją naukową prof. Zbigniewa Lwa-Starowicza i prof. Wojciecha Pomykała z przedmową tego ostatniego z wymienionych uczonych.

Profesor Pomykało jest pierwszym pedagogiem, który przedmiotem swoich dociekań naukowych uczynił człowieka przyszłości. Właśnie pod tytułem „Człowiek przyszłości” została wydana kilka miesięcy temu książka Profesora, wydana przez Akademię Humanistyczną im. Aleksandra Gieysztora, w Pułtusku. Podjęcie tego zagadnienia ma ogromne znaczenie, bowiem teraźniejszość szybko przemija, a kształtować kolejne pokolenie należy uwzględniając czasy, które się rodzą. Jest to szczególnie istotne w XXI wieku, w związku z niewyobrażalnie szybkimi przemianami cywilizacyjnymi, oddziałującymi nas coraz bardziej od środowiska naturalnego.

Omawiana książka należy do zakresu pedagogiki, ale zawarte w niej poglądy są przedstawione w sposób wielopłaszczyznowy. Wyraża się w nich wiedza Autora także z zakresu ekonomii, psychologii, socjologii, filozofii dziejów i filozofii człowieka. Tu warto przypomnieć, że funkcjonuje u nas Towarzystwo Pedagogiki Filozoficznej, bowiem pedagogika pozbawiona więzi z aksjologią sprowadza się do zestawu nakazów i zakazów, uzasadnianych na gruncie jednej spośród wielu teorii moralności. Właśnie moralizowanie już przed wielu dziesiątkami lat było wyśmiewane przez umysły tej miary, co Gabriela Zapolska, czy Tadeusz Boy-Żeleński.

Profesor Pomykało słusznie osadza podjętą przez siebie problematykę człowieka przyszłości na gruncie filozofii, wyjaśniając niezbędną wychowywania kolejnego pokolenia w duchu ideałów. Jest to droga ocalenia człowieka, bowiem nie należy nas ujmować jako istot formowanych bez reszty przez warunki ekonomiczne, społeczne i polityczne czasów w których się żyje. Wskazanie na znaczenie ideałów jest to zarazem wyraz protestu W. F. Pomykała wobec zgody na traktowanie człowieka jako kapitału ludzkiego, czy zasobu ludzkiego. Trzeba zaznaczyć na marginesie, że środowisko naukowe w swej większości nie protestuje wobec takiego określenia degradującego człowieka.

Książka „Człowiek przyszłości” powinna zapoczątkować dyskusję – i to nie tylko w środowisku pedagogów - nad wizją człowieka przyszłości w świecie pospiesznego rozkwitu cywilizacji, w tym sztucznej inteligencji. Niezbędna jest wiążąca się z tym reforma neoliberalizmu ekonomicznego, wskazującego zysk materialny jako nacelną wartość do której ma dążyć człowiek.

prof. Maria Szyszkowska

Kozetka (56)



Stoi na stacji feminywa. Dormant

Cywilizacja rozwija się przez wzrost liczby operacji, które możemy wykonywać bez myślenia o nich.

Alfred North Whitehead

Joanna Friedrich

dormant = ang. uśpiony

Marzenia (zwane przez niektórych planami) ewoluują razem z marzycielami, z czasem można uprawiać już na czysto same marzenia o marzeniach. Dla sportu.

Nie rozpraszać się. Zasiąść i w skupieniu słuchać ciszy. Pozwolić myślom obiegać ziemię. (Pozwolić dzieciom biegać, działają jak areatory.)

Bez podręczników bo jesteśmy dorośli, a dorośli nie potrzebują podręczników. Czasem nawet nie potrzebujemy konsultacji. Konsultacja sprawia, że można zboczyć z tropu.

Rozprasza, dekoncentruje.

Oprócz czasu na modną medytację warto dać sobie czas na swobodne myślenie.

Czas i myśl to zdolni wojownicy.

Mała przepierka w mózgu zapewnia higienę.

Piątki są do tego stworzone.

Jak i kwarantanny.

Kiedy dr Marta nie ma czasu, udają się na bloga doktor od duszy, Minery lub na bloga doktora od zmysłów, Nez de Luxe. Dobrzy ludzie i dobre rzeczy działają na mnie jak ciemnia na negatywy.

Pokotempluję sobie jak Epikurejka w beczce (czy też w – gawrze lub kokonie – jak to na przedwiośniu bywa) i voila – wychodzę z niej bez wieku. Rześka. Trend „ageless” to już

nie mikrotrend, już gości na stałe. Zwłaszcza w Europie, kolebce kultury, sztuki i mody, gdzie na początku XXI społeczeństwo starzeje się. A kanon urody wraz z nim.

Czas leczy rany i ukazuje prawdę, a czasem też nowości, czasem – o nas samych.

Czytam z trudem zdobyte dzienniki Simone de Beauvoir. Wynika z nich, że największą wolnością i swobodą cieszą się kobiety 50-letnie. Francuzi i Francuzki zawsze cenili dojrzałe kobiety, porównując je oczywiście do wina. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek rozważałam siebie w roli feministki? Chyba tylko pisząc pracę licencjacką na temat kobiecego felietonu, choć i tak byłam wtedy w ciąży, więc „wgląd i ogład” zakłócały mi hormony.

Feministka z chłopcem w środku. (Do tego tata mówił do mnie w dzieciństwie „mały”).

Praca magisterska już była pisana pod baczny okiem dwulatka, który, jak to dziecko, przewrócił mój świat do góry nogami – i od wtedy już samo to, że jestem kobietą mi wystarczało.

Być na świecie to już coś, rodzić dzieci, rodzić wiele dobrego.

Zajęłam się retoryką mediów. Wtedy jeszcze media były czwartą władzą. (Według Beauvoir istnieje również czwarta pięć „pięćdziesięcioletnie ubrylantowane kobiety w towarzystwie młodych utrzymanek”).

Spektrum tematów (planuję doktorat), którymi może zająć się w życiu człowiek jest nieskończona, a czas mamy ograniczony, tak więc, dla zdrowia, upieram się zostawać przy stylowych tematach, nie ruszając się za wiele ze wsi. Wpadł już na to Kochanowski, a ja cenię pomysły klasyków. To zapewnia mi, może nie stoicki spokój ale zawsze jakiś pokój, w którym jest trochę ładu i zawsze znajdzie się Coś Pięknego. Czasem kusi mnie, żeby „zająć się” polityką, ale ona tak się sobą sama zajmuje, że właściwie, ani ująć, ani dodać – niepodobna. Jesteśmy przede wszystkim ludźmi w epoce antropocentryzmu. Już to wystarczy, aby mieć pełne ręce roboty.



Kiedy uporamy się z rolą życia – byciem człowiekiem?

Być może wtedy, kiedy zamiast dzielić za-

czniemy mnożyć. Dodawać, nie odejmować.

Pleć to biologiczny drobiazg.

Bycie mężczyzną, to tyle samo wyzwania, co bycie kobietą, jeśli nie więcej.

Konsultujmy się z innymi, kiedy chcemy.

Więcej słuchajmy, mniej gadajmy. Tego potrzebujemy.

Nasz czas jest ograniczony.

Dlatego trend „ageless” ma sens.

„Gdyby mi zaproponowano sławę, która byłaby świetną żałobą po szczęściu – odmówiłabym” – Dame Beauvoir.

Moda nieskończenie mnie bawi i zaskakuje: nareszcie doczekałam się pięknej kolekcji w domu mody Lanvin po erze mojego ukochanego Elbaza:

Ready to Wear, Fall 2020:



Realizm magiczny w powieści Anny Mizgajskiej

„Cierpienie jest piątym żywiołem”

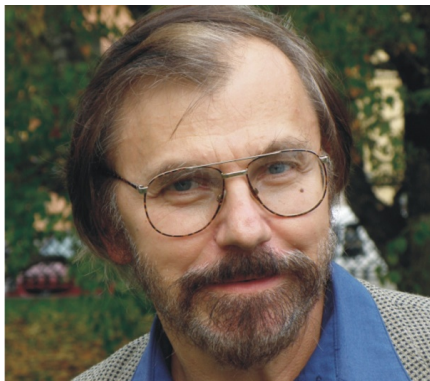
Gdyby policzyć słowa użyte przez **Annę Mizgajską** w książce „Kwestia dotyku” – jest ich niewiele jak na powieść. Zajmują zaledwie sto stron. Ale to wystarcza, by nazwać ją skończoną, ukoronowaną. Historie siedmiorga bohaterów, mężczyzn i kobiet w różnym wieku, od studenta po dwoje emerytów, zdają się być odrębnymi. Tak właśnie myślimy na początku, gdy wchodzimy w pierwsze rozdziały. W sumie jest ich 23, wszystkie krótkie. A każdy poświęcony jest innej postaci, na swój sposób przedziwnej, przez to i wyrazistej, wyróżniającej się a to skłonnościami, a to profesją czy uzależnieniami. Na przykład Feliks Zimny pod czarną liberią strażnika ceremonii pogrzebowych skrywa ciało od stóp do głów wytatuowane obrazkami żuków. Inny bohater – samookaleczający się psycholog terapeuta gardzi większością ludzi, a młoda Jagoda zawodowo spożywa alkohol i nie tylko tym się zajmuje dla pieniędzy. Co wspólnego może mieć ze sobą już choćby tylko ta trójka z siedmiorga (siedem wątków głównych)? Co mogłoby ich wpisać w jeden zbiór czy podzbiór ludzki? Zadajemy sobie pytanie, czy jest coś takiego? I otrzymujemy odpowiedź – to cierpienie (*Cierpienie jest piątym żywiołem*), ten wewnętrzny garb, który niosą i skrywają w sobie, czyli traumy dzieciństwa, złe wzorce i nałogi kładące się cieniem, a w konsekwencji determinujące ich losy.

„ – Jaki jest ósmy żywioł? – zapytała psa. – To pamięć, piasku, to pamięć...”

Bolesność przeżyć i doznanych (najczęściej w dzieciństwie) krzywd (osnowa) symbolicznie łączą te nie do połączenia postaci.

(Dokończenie na stronie 24)

Listy do Pani A. (141)



Chwile z Panią Basią

Droga Pani!

Chciałem zachwycać się wiosną, słoneczną i pogodną. Myślałem, że nic tego nie zakłóci, zwłaszcza że robi się coraz jaśniej i cieplej, a zimy praktycznie nie mieliśmy. Tymczasem początek marca zaczął się wielkim smutkiem. Oto odeszła od nas Basia Nawrocka, żona, wierna towarzyszką życia, prawa ręka Aleksandra Nawrockiego.

Odkąd pamiętam, zawsze była. Jeśli akurat nie fizycznie, to jej obecność i tak wyczuwało się na imprezach poetyckich; wszędzie tam, gdzie był obecny Aleksander. Jeździła z nami na spotkania do Opinogóry, Ciechanowa, na imprezy literackie zagraniczne. Zawsze była na warszawskich festiwalach UNESCO i poezji słowiańskiej; jej charakterystyczna, szczupła, bardzo zgrabna sylwetka, przewijała się wśród poetów, publiczności, licznie zgromadzonej młodzieży.

Aleksandrowi – poecie i w pewnym sensie dystraktowi – nie zawsze udawało się podczas prowadzenia imprezy nad wszystkim zapanować. Ale była Pani Basia. Ile to razy od stołu prezoidalnego Aleksander z lekka zestresowany, pytał: „Pani Basiu, gdzie są moje okulary?”, „Pani Basiu, odbierz telefon, bo przecież ja teraz nie mogę”. „Pani Basiu, podaj mi „Poezję Dzisiaj”... Zwracał się do niej per „Pani Basiu”, co brzmiało dosyć oryginalnie, ale jakże serdecznie. Potem wszyscy przyjaciele zaczęli tak ją nazywać, bez względu na to, czy ktoś był z nią po imieniu czy też nie. Pani Basia ciepło i pogodnie uśmiechnięta natychmiast spełniała mężowskie życzenia. Wiedziała, gdzie i co zostało odłożone, podpowiadała, kto dotąd nie czytał wiersza, kogo więc należy jeszcze zaprosić, aby nie wyrządzić przykrości, i autora nie pominąć, robiła świetne zdjęcia, które później ukazywały się w „Poezji Dzisiaj”, w licznych almanachach poezji polskiej i zagranicznej, w książkach Aleksandra Nawrockiego ukazujących się w Wydawnictwie Książkowym Ibis. Także i w zbiorach Jej. Wierszy. Była przecież świetną poetką.

To wszystko nadawało bardzo rodzinny,

kameralny klimat obu tych Festiwali organizowanych przez Aleksandra Nawrockiego przy wydatnej pomocy Basi Nawrockiej-Jurkowskiej. Dodajmy, że Poeta na komputerze zna się – delikatnie mówiąc – bardzo średnio, więc strona wydawnicza „Poezji Dzisiaj” była także domeną Pani Basi.

Wiedzieliśmy, że od pewnego czasu chorowała, potem zdawaliśmy sobie sprawę z narastającej powagi sytuacji, ale nie chcieliśmy dopuszczać myśli o najgorszym. Dla nas Pani Basia była, jest i będzie – taką mieliśmy nieustającą nadzieję. Można powiedzieć, że pomimo wszystko wiadomość o Jej odejściu spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Trudno było sobie wyobrazić, że to nastąpi tak szybko; że już nastąpiło...

A my wszyscy dalej jesteśmy zanurzeni w codzienności. To, co nas otacza przywodzi mi na myśl ewangeliczne przepowiednie dotyczące końca świata. Wprawdzie – jak pisał Czesław Miłosz – „innego końca świata nie będzie”, tylko ten powszedni, może prywatny, a ci „którzy czekali błyskawic i gromów, / są zawiedzeni”. A jednak trudno się oprzeć wrażeniu, że coś w powietrzu wisi. Ale Waław Oszajka stwierdził, że nie po to Bóg powołał świat do istnienia, żeby go zniszczyć. Może przemieni, ale nie zniszczy. Przypominam sobie te słowa poety, bo w nich zawiera się nadzieja. Jednak wielkie pożary, jak ten australijski, huragany, tornada, niebezpieczne i wymykające się spod kontroli migracje, wreszcie koronawirus, nie zapowiadają rajskiej szczęśliwości. Ludzie wpadają w panikę, wykupują żywność, szaleją. Czy Pani też się boi? Mam nadzieję, że przy rozsądnym spojrzeniu na wszystko, co dzieje się wokół nas, zachowuje Pani spokój. Oczywiście, nie należy lekceważyć środków ostrożności, ale bez przesady.

Brakuje mi tylko spotkań, imprez literackich. Ale rekompensują to lektury, zwłaszcza poetyckie. Dostałem od Krysi Koneckiej zbiór jej sonetów – innych gatunków nie uprawia – „Zwierciadło Marii Stuart”; tom polsko-angielski w przekładzie Ewy Sherman.

Po raz kolejny Krystyna Konecka udowodniła, że klasyczna forma wiersza, jak również spojrzenie na wydarzenia historyczne mogą mieć wiele odniesień do współczesności. Pisząc o Marii Stuart pisze poetka o kobiecie, o problemach człowieka uwikłanego w problemy swojej epoki, ale w sposób uniwersalny, ponadczasowy. Maria jest tutaj personifikacją, jej życie egzemplifikuje z jednej strony konkretne wydarzenia, z drugiej zaś wiele wydarzeń historycznych oraz ludzkich losów dziejących się nieprzerwanie do dziś. Pisząc więc o Marii, Krystyna Konecka pisze o nas wszystkich, o naszym niespokojnym, podstępny światem pełnym obłudy i fałszu, ale w którym nie brak i stron jaśnych, wypełnionych miłością. Maria Stuart jawi się tutaj jako żywa kobieta, pełna emocji, radości, zmartwień i cierpienia. Nasz świat nie odbiegł od tamtych czasów tak daleko, aby te wszystkie uczucia stały się dla nas anachroniczne. Zmieniły się stroje, obyczaje, ale wciąż pozostaje w nas to samo niezmiennie, krwiożercze zwierzę; ta sama dramatyczna istota, spragniona miłości i prawdy. To świetne wiersze! Podziwiam

można poetycki kunszt i warsztatową biegłość Krystyny Koneckiej, mistrzyni sonetu. „Sonetina” – jak zwykły był ją nazywać nasz przyjaciel, nieżyjący już niestety, Tadeusz Kwiatkowski-Cugow.

Świetny jest tom Stanisława Nyczaja „Czasochłon”. Zażartowałem, że w ostatnim czasie lepszy byłby tytuł „Koronawirusochłon”, co nas obu rozbawiło. Mamy ze Staszkiem bardzo podobne poczucie humoru, nierzadko czarnego. Ważne, że ten humor dochodzi do głosu także w poezji. Wiersze Staszka Nyczaja cechuje duży dystans do rzeczywistości, wycucie wieloznaczności słowa, przebogaty arsenał skojarzeń, celność metaforyki.

Głównym tematem wierszy z tego tomu jest czas, pojęty jako zjawisko przemijania, ale też – częściej w tym tomie – jawi się jako destrukcyjny żywioł, któremu ulega wszystko na tym świecie – zarówno istoty żywe jak i rzeczy martwe. Zmienia się historia, kruszą się budowle, odchodzą ludzie, którzy wydawali się nam niezniszczalni i niezastąpieni. Czas wchłania wszystko. Sztylety – jak pisze Nyczaj – rozpędzonych wskazówek „przeszywają wzdłuż, wszcz, na wskroś”. I nie ma na to rady. Jesteśmy w jego władaniu. Połyka, unicestwia. Przydałby się jakiś „czasochłon”, który by nas uwolnił od tego niezatrzymanego „żywołu”.

Tytuł tego tomu jest zatem wieloznaczny. Tak jak zresztą cała poezja Staszka. Lektura „Czasochłonu”, poezji świadczącej o stałej ewolucji artystycznej Stanisława Nyczaja, to prawdziwa uczta intelektualna, literacka.

Bardzo zachęcam Panią do sięgnięcia po ten wysoce oryginalny i ciekawy tom.

Tymczasem mamy wiosnę, idzie Wielkanoc, a my ze względu na pandemię musimy siedzieć w domach. Pomimo wszystko życzę Pani zdrowia, rychłej odmiany sytuacji, zmartwychwstania nadziei –

Stefan Jurkowski



Rys. Barbara Medajska

Rozmyślania



Maestro Penderecki

29 marca br. w wieku 86 lat zmarł **Krzysztof Penderecki** – wybitny twórca, jeden z najbardziej znanych i cenionych na świecie polskich kompozytorów. Za swą twórczość honorowany był wysokimi odznaczeniami krajowymi i zagranicznymi; pięciokrotnie został laureatem nagrody Grammy.

Andrzej Dębkowski

Krzysztof Penderecki, był przedstawicielem tzw. polskiej szkoły kompozytorskiej w latach 60. XX wieku, często nazywany „wielkim odkrywcą dźwięków i eksperymentatorem”. Właśnie jemu zawdzięczamy awangardowe utwory w duchu sonoryzmu – czyli dzieła, które każą muzykom wydobywać dźwięki z tradycyjnych instrumentów nie-tradycyjnymi metodami, jak pukanie, skrzypienie lub dudnienie po pudle.

Pochodził z rodziny o ormiańskich korzeniach. Od najmłodszych lat uczył się grać na skrzypcach i fortepianie. W latach 1955-1958 studiował kompozycję w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie. Do pierwszego publicznego występu Pendereckiego doszło w 1959 roku na Międzynarodowym Festiwalu Warszawska Jesień. Zostały wykonane wówczas kompozycje Pendereckiego: „Strofy”, „Psalmy Dawida” i „Emanacja”, za które kompozytor otrzymał trzy pierwsze nagrody na II Ogólnopolskim Konkursie dla Młodych Kompozytorów.

Jednak światowy rozgłos przyniosły kompozytorowi utwory awangardowe z lat 60., takie jak „Tren Ofiarom Hiroszimy”, czy „Pasia według św. Łukasza” – pierwsza rozbudowana forma w twórczości Pendereckiego. Utwór został napisany na zamówienie dla uczczenia 700-lecia katedry w Muenster. W

1961 roku Międzynarodowa Trybuna Kompozytorów UNESCO w Paryżu wyróżniła go za „Tren ofiarom Hiroszimy”, w 1972 roku jego utwór „Ekecheiria” zabrzmiał na otwarciu Igrzysk Olimpijskich w Monachium, a w 1996 roku skomponował symfonię-oratorium „Siedem bram Jerozolimy” na zamówienie tytułowego miasta z okazji jubileuszu 3000 lat jego istnienia.

W latach 70. stanął za pulpitem dyrygentkim, prowadząc od tego czasu czołowe orkiestry symfoniczne w Europie, Stanach Zjednoczonych i Azji.

Aktywność Krzysztofa Pendereckiego była imponująca. Kompozytor pozostawał otwarty na nowe doświadczenia i współpracę z twórcami młodszego pokolenia. Konfrontował jego awangardowe kompozycje z muzyką Jonny’ego Greenwooda, gitarzysty Radiohead i Aphex Twina – a utwór „48 Responses to Polymorphia” miał premierę w ramach wrocławskiego Europejskiego Kongresu Kultury.

Krzysztof Penderecki jest również autorem muzyki filmowej m.in. do „Rękopisu znalezione w Saragossie” i „Katynia” Andrzeja Wajdy. Wielu twórców filmowych wykorzystywało muzykę wcześniej skomponowaną przez Pendereckiego, np. Stanley Kubrick w „Lśnieniu”, William Friedkin w „Egzorcystie” i bracia Quay w „Masce”.



Krzysztof Penderecki i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina.

W muzyce XX wieku nikt chyba nie zrobił takiej kariery, jak on. Nie zrobił jej również tak szybko... Może tylko Igor Strawiński mógłby mu dorównać.

Z jego inicjatywy powstało Europejskie Centrum Muzyki w Luśwawicach dedykowane młodym artystom. Był również wielkim miłośnikiem drzew – architektem liczącego ponad dwa tysiące gatunków drzew parku w Luśwawicach.

Krzysztof Penderecki był doktorem honoris causa kilkunastu uniwersytetów, członkiem honorowym najważniejszych akademii artystycznych i naukowych, a także honorowym profesorem wielu prestiżowych uczelni artystycznych. Kawalerem Orderu Orła Białego, za swą twórczość uhonorowany został wysokimi odznaczeniami krajowymi i zagranicznymi oraz prestiżowymi nagrodami, m.in. pięciokrotnie nagrodą Grammy.

Wybitny kompozytor, dyrygent i pedagog Krzysztof Penderecki spocznie w Panteonie Narodowym w kościele śś. Piotra i Pawła w Krakowie.

Mieszkańcy Zelowa mogą być także dumni z tego, że gościli Krzysztofa Pendereckiego 27 października 2004 roku w ramach Letnich Koncertów Festiwalowych. Był to koncert finałowy poświęcony ks. Jerzemu Popieluszcze w 20-lecie tragicznej śmierci. Maestro poprowadził Orkiestrę Symfoniczną Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina. Wystąpili także: Georgij Agratina – fletnia Pana, Robert Grudzień – ograny.

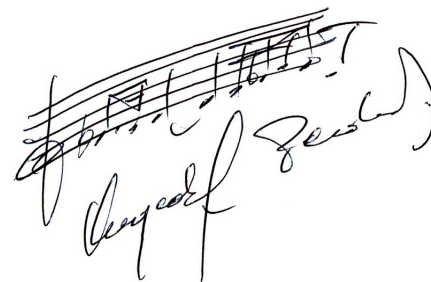
Na koncert złożyły się utwory: Jana Sebastiana Bacha – *Aria z II Suitu D-dur*, Tomasa Albiniego – *Adagio g-moll*, Georgija Agratiny – *Pieśń Pasterza pamięci ks. Jerzego Popieluszki*, Krzysztofa Pendereckiego – *De Profundis* oraz Ludwiga van Bethovena – *VII Symfonia A-dur*.

To było niesamowite wydarzenie kulturalne na najwyższym, artystycznym poziomie. Kościół wypełnił się po brzegi, a w koncercie uczestniczyło około tysiąca osób. Przyjechali melomani nie tylko z okolicznych miejscowości, ale także z Łodzi, Częstochowy, Piotrkowa Trybunalskiego, Kutna, Bełchatowa, Sieradza, Łasku, Zduńskiej Woli i innych. Pamiętam jak przed koncertem Maestro zapytał mnie, czy tu ktoś w ogóle przyjdzie, a ja mu odpowiedziałem, żeby się nie martwił, bo nasz festiwal ma już tradycje i przed nim byli tacy wykonawcy, jak: Teresa Żylis-Gara, czy Konstanty Andrzej Kulka. Zachęcony tymi słowami, a potem wspaniałą atmosferą samego koncertu, nie wyjechał zaraz po koncercie – jak planował – tylko został ponad dwie godziny na bankiecie wydanym na jego cześć – rozmawiając z zaproszonymi gośćmi. Ten koncert wspominany jest do dzisiaj, jako jedno z najważniejszych wydarzeń kulturalnych w historii Zelowa



Krzysztof Penderecki, Georgij Agratina i Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina.

© Fot. Archiwum Domu Kultury w Zelowie. Zdjęcia w tekście pochodzą z koncertu w kościele M.B. Częstochowskiej w Zelowie.



Autograf Mistrza złożony w Kronice Domu Kultury w Zelowie.

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (49)

(fragmenty)



A co z zespołem? Pewnie przestanie istnieć...

Najpierw robimy objazd, bo ksiądz chce mi pokazać, jak bardzo zmieniła się wieś. Domy ładne, murowane, odremontowane, ale w wielu mieszkają tylko starzy ludzie, osamotnieni, bez dzieci, co wyfrunęły w świat. Wieczorami oczekują na telefony od synów, córek z „Rajchu”. Synowie spotkanej przed domem we Wróblinie Jadwigi Kluge już od 20 lat mieszkają w Niemczech. Jadwiga Zacher miała pięcioro dzieci – wszystkie w „Rajchu”. Obie podparte: jedna na miotle, druga na kiju. Ksiądz żartuje: – Kiedy się doczekam od pań zaproszenia na dyskotekę? I tak od żartu do żartu – nawiązuje się rozmowa.

– Trzeba z każdym postać, pośmiać się, oni to lubią, wtedy czują, że jestem „swój”. Wie pan, Ślązacy nie są skłonni do łatwego wyrażania uczuć, nie okazują na zewnątrz życzliwych czy smutków. Są inni od wylewnych kresowiaków, których tu też jest trochę. Kresowiak powie, że „płakał dziś do poduszki”, autochton Ślązak nigdy nie pójdzie aż tak daleko w wyznaniu, utnie każdą rozmowę żartem...

Dom Hermana i Marii Fuksów. Czekają co wieczór na telefon od syna Erwina z Bararii.

Ona po iluś operacjach, on stracił wzrok, żona doprowadza go do bramki.

– Chodzą pogłoski, że ksiądz chce nas opuścić.

– Ano chcę, tak jak i wy, poleżeć sobie do góry brzuchem na stare lata – żartuje.

– A gdzie tam księdzu do starości...

Trudno obliczyć, ilu jest naprawdę mieszkańców we Wróblinie, w Naczesławicach, bo o niektórych nie wiadomo, czy mieszkają tu, czy „w Rajchu”.

Ci, którzy są na robotach sezonowych, starają się przyjeżdżać do domu na weekendy.

Ci, którzy wyjechali na stałe, też nie do końca się tam zaaklimatyzowali, Ślązak to

Ślązak, ani Niemiec, ani Polak. Stąd tęsknoty ich... i odczucie wyalienowania. Nawet język ich zdradza, bo mówią kiepsko po niemiecku...

Minęło czterdzieści lat proboszczowania w Naczesławicach... Ksiądz przysposobił do gry na instrumentach pewnie z 500 osób. Drugie 500 występowało w chórze. Zespół „Symfonia Rusticana” dał koncerty w ponad 300 kościołach Dolnego i Górnego Śląska, a także w Niemczech i Czechach. Jednak trzeba definitywnie zamknąć ten rozdział. Pewnie, że mu z tego powodu nie za lekko na duszy... ale taka kolej rzeczy... Nie uważa, żeby jego praca poszła na marne. Trochę osób z orkiestry pokończyły szkoły muzyczne. Są tacy, którzy grają lub występują w Niemczech, i tacy, którzy grają na zabawach, po weselach. W ostatnich latach ksiądz już nie prowadził prób, bo nie starczało mu czasu. Opłacał za to, nieraz z własnej kieszeni, instruktorów muzyki z Filharmonii Opolskiej.

W salce teatralnej, gdzie odbywały się próby zespołu – istne pobojuwisko papierów. Ksiądz przysiadł za stołem, pokazuje, ile tego się nagromadziło. Samo? Nie, trzeba to było kiedyś ręcznie przepisać: nuty, nutki.

– Na Śląsku jest bogactwo pieśni kościelnych – dziewięćset, gdy na przykład u was, w kulturalnym Krakowie – tylko trzysta. Jak mogłem obok tego przejść obojętnie? Przecież to skarby muzyczne...

W salce znajduje się tylko część z 20 tysięcy utworów, które zgromadził... Nuty do symfonii, oratoriów, pieśni, kantat, przepisywane przez księdza w bibliotekach Wrocławia, Warszawy, Krakowa... Przez lata siał muzyczne ziarno w serca mieszkańców. Niektóre trafiły na ugór, inne na skałę, inne na żyny grunt, ale najczęściej pozostawiały jakiś muzyczny ślad, bo „muzyka zawsze pozostawia ślad w sercach, a piękny utwór może nawet przeobrazić człowieka”.

Śluchając go, cieszę się, że życie nie wyleczyło go z idealizmu.

– Moje życie bez muzyki nie miało by tego blasku – zapala się. – U nas w domu obowiązywało przykazanie: co otrzymałeś, oddaj innym – poważnie... – Skoro miałem szczęście, że zaszczepiono mi miłość do muzyki, chciałem przekazać to innym, bo wierzę, że muzyka może ratować człowieka od największych głupstw, nawet od wieszania się; może być pocieszycielką. Człowiek, który sobie przyswoił Beethovena, jest o wiele bogatszy wewnątrz. Hałas, kakofonia, decybele, na których robi się dziś biznes, są nawet w stanie rozdrzeć cieniutką powłokę duszy, która z natury swej jest symfoniczna i dąży do harmonii... A jeśli rozdrę – ginie wrażliwość... Wtedy już tylko krok od przyjmowania za dobrą monetę wszelkich gałęzi. Dlatego taką wagę przywiązywałem do pierwszych kroków muzycznych i wierzę, że jeśli dziecko zarazi się pięknem dźwięku, to piękno pozostanie w nim na całe życie...

6 lipca

W Sulminie (koło Gdańska) u Krzysztofa i Iwony Lesińskich. Krzysztof to autor ostatnio wydanego ciekawego zbioru wierszy „Grzechy najwspanialsze”. Jest „z powołania”

antyklerykałem poszukującym na własną rękę Boga. Jako antyklerykał lubuje się w dekonspirowaniu dwulicowości księży. Twierdzi, że jego znajomy proboszcz (mający kobietę i dziecko) mówił mu, że 75 procent księży nie żyje w celibacie. Z przekory przeczytałem mu reportaż o wspaniałym społeczniku księdzu Jerzym Kowoliku, który – jak napisałem powyżej – założył i prowadził przez 40 lat jedyną w Polsce orkiestrę symfoniczną na wsi, wykonującą muzykę Mozarta, Beethovena, Bacha czy Haydna...

Wśród ateistów bronię Kościoła. Pośród dewotek mnożę wątpliwości; myślę, że próbuję w ten sposób złapać jakiś balans, właściwą miarę i właściwe proporcje dla ruchomej prawdy, której nie da się zatrzasnąć na amen w jednej szufladzie i mieć święty spokój.

Najładniej i najspokojniej w Gdyni Orłowie. Kąpałiśmy się w brudnym i chłodnym Bałtyku.

Latopis 2011

W Borzęcinie – koniec świata!

Powiesił się wikary, bardzo lubiany ksiądz Czesiu. Ludzie wiedzieli, że chorował na stwardnienie rozsiane i miewał stany depresji i euforii. Podobno godził parafian i był chodzącym dobrem, więc wszyscy mu współczuli i niemal cała wieś wzięła udział w pogrzebie. Nikt go nie potępił.

– Ale żeby ksiądz się powiesił?! Ksiądz? No nie, to przechodzi ludzkie pojęcie – delirują w Borzęcinie.

Opowiadają, że wrócił właśnie ze szpitala psychiatrycznego, gdzie się przez miesiąc leczył. Może odczuł to, o czym pisze Sandor Marai w „Księdze ziół”, którą właśnie smakuje pod rozłożystą jabłonią:

„Czy jesteś zmęczony życiem?”

Tak, pewnego dnia czujesz, że przychodząc na świat, podjąłeś się zadania ponad siły.

Zbyt wiele było oporu, zbyt wiele nieobliczalnego, nieprzyjemnego, zbyt wiele niegodziwości i beznadziei, zbyt wiele cierpień i rozczarowań”.

W „kraju lat dzieciństwa” w oswojonym krajobrazie dobrze mi się odpoczywa, czyta, myśli, jeździ na rowerze... Przede wszystkim uwalniam się od tej cholernej pułapki komputera i telewizora...

Każdego popołudnia jadę do mamy mieszkającej u brata. Właśnie dziś skończyła 97 lat. Była rozmowna, pamiętała dużo szczegółów z życia sąsiadów i nie narzekała na przymus długiego życia... Nie pytała jak to w jej zwyczaju: – No i powiedz, Józku, czyja byłam potrzebna na tym świecie jako czternasta w rodzinie... A ja nie musiałem jej odpowiadać: – Mamo, jakby ciebie nie było, to by mnie nie było, i brata Gienka, i siostry Frani, i siedmiorga wnuków, i dwanaściora prawnuków...

cdn.



Poeta na granicy „bycia bytów”

Tomik autorstwa **Krzysztofa Lisowskiego** pt. „Zaginiona we śnie” wpisuje się w ramy współczesnej poetyki ponowoczesnej, w której zarówno linearne postrzeganie czasu i trójwymiarowe przestrzeni ulegają zakwestionowaniu. Autor wędruje więc w przestrzenie wyobraźni po jej horyzonty literackie, by odsłonić możliwe cyrkulacji dawnych horyzontów poezji i miejsce ich inspiracji, np. na ulicę Kartezjusza, a więc miejsce, gdzie umarli i żywi poruszają się w niekończącym się korowodzie, pozostając między jawą i snem. Tam nieograniczona wola wyprowadza ludzi poza granice tradycyjne racjonalności, choć ta peregrynacja nie uwalnia ich od granicy między życiem a śmiercią. W wierszu pt. „Ulica Kartezjusza” autor konkluduje, że (...) *za oknami za kratami / znajdowała się / ulica Kartezjusza / i żółty mur pokryty napisami / taki widziałem w Wilnie a może w Lizbonie (...)*, by następnie wyprowadzić ludzi ku oceanowi, a oni *po czują na twarzach jego zielony głęboki oddech*.

Nie trudno zauważyć, że poeta stara się ukazać wielorakość tego kontekstu w duchu francuskiego racjonalisty, by odczuć, że rozumność zawsze jest podporządkowana wolitywności postrzegającego czytelnika-podróżnika.

Człowiek bowiem ciągle nie wierzy w swoją obecność w aktualności, a jedynie chce ją potwierdzać i sprawdzać w każdym z możliwych światów. Poeta wędruje z Urszulą Kozioł na górę Makalu, by spotkać Budde, i by potwierdzić, że nasze życie nieustannie dzielimy z umarłymi, nieustannie poszukując sensu naszego istnienia. Żyjemy więc w świecie ciągle powtarzającego się mitu, który również tworzymy jak dzieci na własne potrzeby. Właściwie jesteśmy sobą i nie-sobą, a więc nieustannie się stajemy – jak to trafnie zauważył Heraklit.

Poeta zachęca do powrotu do starych ksiąg, np. Platona, by powędrować z nim poza czas i przestrzeń, ku „światowi idei” i by pokontemplować z nim „ideę Piękną i Dobrą”, ale i zrozumieć, że ona jest „przyczyną wszystkiego dla wszystkiego”. To z kolei odsyła go do świata średniowiecza, by mógł wyjść z „klatki” własnej egzystencji we wszystkie możliwe kierunki. Za namową Zuzanny Ginczanki poeta pojmuję, że *strach ma piękne oczy / jedno zielone / a drugie niebieskie*.

Na Litwie widzi związki duchowe Mariana Zdziechowskiego z Czesławem Miłoszem, od którego nauczył się on „alfabetu apokalipsy”. Wyobraźnia podsuwa mu świat ducha Faulknera „polowania z myszłowem”, by na nowo uchwycić ekologiczny sens świata między Księżycem i Słońcem w wymiarze całości Kosmosu. Przemierzając świat Orhana Pamuka delectuje się smakami i zapa-

chami tamtejszych potraw. To zaś odsyła go ku zrozumieniu rodzimej historii, tej mitycznej i rzeczywistej. Natomiast w pomiarach widzi odległości, czyli uniwersalne cechy wszystkich kultur, owocuujące w piramidalnych budowach.

Z kolei poeta przygląda się związkom duchowo-literackim Blake’a i Auden’a, postrzega podobne związki Wisławy Szymborskiej i Czesława Miłosza, w podglebiu których odkrywa fundamenty duchowe kultur Kartaginy i Krety. Osobowości, czyli maski, które nakładają twórcy na swe twarze łączą się w czasie ich podróży egzystencjalnych w „bezsensowność ludzi i psów”. We „Wprowadzeniu do historii literatury powszechnej” dowiadujemy się, że (...) *I taka jest prawda o literaturze / Dokładna niewiedza / Niewiele prawdy a dużo zmyślenia / fikcja zawstydzana sytuacją / Że nie sposób przecisnąć się przez papier / Tłumowi Homerów / Którzy byli i nie byli / Nie wiadomo kiedy*.

Poezja bowiem to liryczne namiętności sięgające od DNA człowieka do DNA Kosmosu, które są zamieszane w przeszłość, pamięć, wspomnienia przywiązujące się do ludzi, regulujące ich wyobraźnię, poza horyzonty bytów w ich byciu, gdzie żyje się wiecznie po „śmierci śmierci”. A dzieje się to w świecie ducha dlatego, bo ciągle następują jego nawroty, choć podobne ze swej istoty, to jednak różne ze względu na przedstawiane przez twórców treści wypowiedzi poetyckich. Poezja jest przecież bliższą siostrą poezji, bardziej jednak profetyczną, sytuującą podmiot ludzki w prześwicie – jak pisał M. Heidegger – między byciem, a bytami, którym człowiek nadaje sens z perspektywy aktualnej kondycji bytowej.



W czasie lektury tego tomiku straciłem pewność w wiarygodność używanego języka. Sądzę, że stwierdzenie Fiodora Dostojewskiego, napisane pod wpływem Fryderyka Nietzschego, że „Bóg umarł”, w więc „wszystko jest dozwolone”, nie jest dzisiaj adekwatne do końca w dzisiejszej sytuacji duchowo-

kulturowej. Są to jedynie próby urzeczywistnienia tego stanu rzeczy, ale domagają się również dyscypliny dekonstrukcyjno-konstrukcyjnej, kiedy podmiot liryczny, ale i podmiot piszący sytuują się „pomiędzy jawą i snem”. W wierszach Lisowskiego ta przytomność umysłu jest obecna, a więc ich czytanie niewątpliwie ćwiczy naszą wyobraźnię oraz pojmowanie kierunków narracji poety.

Nie trudno zatem zauważyć, że poezja Krzysztofa Lisowskiego jest pewną kontynuacją metody hermeneutycznej w filozofii, inspirowanej doświadczaną tzw. „różnicą ontyczno-ontologiczną”, w której stoi twórca i próbuje uchwycić aktualny „sens świata” i miejsce człowieka w nim.

prof. Ignacy S. Fiut

Krzysztof Lisowski, *Zaginiona we śnie*. Wydawca: Biblioteka Kraków, Kraków 2019, s. 104.

Bardzo wyklęte festiwale

Książka **Bartosza Żurawieckiego** „Festiwale wyklęte” w interesujący sposób opowiada o dwóch wielkich imprezach muzycznych lat 60., 70. i późniejszych. Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze i Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. Pod adresem obu – zwłaszcza w obecnej manipulowanej przez nachalną propagandę epoki – padają opinie o ich propagandowym charakterze. Dziwne? Obie imprezy zostały, już w IV RP – wyklęte, podobnie zresztą jak wykonawcy pojawiający się na tamtych estradach, co udowadnia autor pozycji. Jednak książka B. Żurawieckiego okazuje się znakomitą pomysłową na odkłamanie coraz bardziej załganej – obecnie już oficjalnie, państwowo – historii naszego kraju. Co czynią to nie tylko przeróżne rządowe instytucje utrzymywane za nasze pieniądze, ale również były (na szczęście!) prezydent. Mówi w książce piosenkarz Adam Zwierz (s. 448): *Spotkałem niedawno prezydenta Bronisława Komorowskiego i opowiadam mu tę historię [dot. festiwalu w Kołobrzegu – przyp. E.K.], a on na to odpowiedział mi z surową miną: «Proszę zapomnieć, że w ogóle był w Polsce taki festiwal»*.

Przypomnijmy jednak – dla historii – że w 1962 roku odbył się I Ogólnopolski Konkurs Piosenki Radzieckiej, rok później II konkurs. Na nim drugie miejsce zajmuje Zdzisława Sośnicka. W roku 1964 odbywa się jeszcze III konkurs, ale od 1965 roku przekształca się w Festiwal Piosenki Radzieckiej. I od tam liczy się numeracja festiwali. 6 lipca 1989 roku w Zielonej Górze odbywa się jubileuszowy, XXV festiwal, zarazem ostatni, jak się potem okaże. Rosyjski pieśniarz Misin zaśpiewał wówczas – znak czasu – balladę

(Dokończenie na stronie 18)

Bardzo wyklęte festiwale

(Dokończenie ze strony 17)

o Chrystusie, a w koncercie galowym wystąpili m.in. Zdzisława Sośnicka, Wanda Kwietniewska, Ewa Kuklińska, Felicjan Andrzejczak. Po latach próbowano imprezę wznowić. W 2008 roku odbył się I Festiwal Piosenki Rosyjskiej (laureatami zostali Anna Dereszowska i Michał Szpak). W 2014 roku po przyłączeniu Krymu do Rosji wydarzenie muzyczne zostało zawieszono i w tym stanie trwa do dziś. Łącznie, wliczając konkursy piosenki radzieckiej, odbyło się zatem w Winnym Grodzie 28 imprez muzycznych, dodając piosenkę rosyjską przekraczamy trzydziestkę.

Festiwal kołobrzeski zaczął się w... Połączynie Zdroju. „Wytrzymał” tam tylko dwa lata, po prostu decyzją odgórną przeniesiono go do nadmorskiego kurortu. XXIV spotkanie muzyczne nad Bałtykiem odbyło się w lipcu 1990 roku. *W latach 1991-1994 odbywała się impreza zatytułowana Prezentacje Kulturalne Wojska Polskiego «Arsenał Artystyczny». Do formuły festiwalu powrócono w roku 1995 (s. 445).* Po raz ostatni w tej konwencji festiwal odbył się w 1997. Wygrał zespół wykonujący rap... *W 2007 roku na scenie pod pomnikiem kościuszkowców w Warszawie odbył się – zorganizowany z inicjatywy radnego Prawa i Sprawiedliwości (...) – Festiwal Muzyczny «Żołnierska Nuta». Wystąpili dawne gwiazdy kołobrzeskich festiwali: Nina Urbano, Barbara Książkiewicz, Jolanta Kubicka, Ryszard Arning, Bogdan Czyżewski, Wiktor Zatwarski, Tadeusz Woźniakowski, Trubadurzy, a także Alicja Majewska, Włodzimierz Korcz, Danuta Stankiewicz i Andrzej Dąbrowski. (...) Głódz siedział w pierwszym rzędzie i świetnie się bawił. W pewnym momencie, w trakcie wykonywania jednej z piosenek, na widowni niespodziewanie rozległy się brawa. Okazało się, że przybył prałat Henryk Jankowski (s. 445-446).*

Ale nie tylko zadanie odkłamania polskiej historii w dziedzinie rozrywki postawił sobie autor książki za cel. *Napisałem tę książkę także w akcie solidarności z tymi, którym nakazano milczenie. W prywatnym proteście przeciwko upraszczaniu i retuszowaniu historii. Wykluczaniu ludzi mających w niej swój udział – czy to się dzisiaj podoba, czy nie (s. 450).*

Rzecz jest napisana według prostego sposobu. Chronologicznie, rok po roku, Bartosz Żurawiecki przeznacza po kilka stron na opisanie wydarzeń kolejnego festiwalu w Zielonej Górze (starszego) i Kołobrzegu. Jest narratorem opowieści, snuje zatem obok siebie dwa festiwalowe wątki, ale jednocześnie stara się przypomnieć i wzbogacić tamte historie wypowiedziami organizatorów, wykonawców, dziennikarzy, obserwatorów ówczesnych imprez. Dużo jest w związku z tym ciekawych, celnych głosów osób, do których po wielu latach, np. od ich debiutu na scenie, dotarł B. Żurawiecki. Niektórzy są zdumieni, że w 2018, 2019 roku ktoś chce z

nimi rozmawiać o „niechlubnej” przeszłości, o „czarnych kartach” Polski. Ale rozmawiają. Ba, mimo prawicowej indoktrynacji ostatnich dekad, znajdują się postaci, które z chęcią i radością wypowiadają się o swoich występach w Winnym Grodzie, czy też nadmorskim kurorcie. Liczący 16 stron drobnym tekstem indeks dzieła Żurawieckiego potwierdza rzetelność badań autora, chęć dotarcia do jak najliczniejszego grona reprezentantów festiwalowych wydarzeń.



Są też, co autor punktuje na wstępie, nazwiska które nie chciały się znaleźć w tej pracy, odmówiły kontaktu lub wypowiedzi. Jednakże – co cenne (a nawet bardzo cenne) z punktu widzenia prawdziwości historii kultury polskiej, a także demitologizacji różnych narracji środowiskowych – pisarz i tak prostuje wszelkie konfabulacje, nieścisłości, niedopowiedzenia naszych gwiazd i innych bohaterów swej pracy. Dotyczy to np. ich wypowiedzi prasowych, książkowych na temat udziału w festiwalu piosenki radzieckiej, czy też żołnierskiej, zdobytych nagród, konsekwencji dawnych występów na estradzie. Bo upływające lata i zmiana epoki politycznej spowodowały, że niektóre gwiazdy „zapomniały”, iż przyjeżdżały ongiś do amfiteatrów w Zielonej Górze i Kołobrzegu, i obecnie w wywiadach, biografacjach trudno znaleźć jakiegokolwiek wzmianki na ten temat. Np. Janusz Panasewicz z Lady Pank „w telewizyjnym programie «Wideoetka dorosłego człowieka» stwierdził: *O ile pamiętam, nie doszło do żadnego mojego występu w Kołobrzegu, czy gdzieś tam. (...)* Na co nie bez słodkiej ironii autor książki: *Cóż, pamięć bywa zawodna. Szeregowiec Panasewicz widnieje na liście laureatów XV Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu w 1981 roku – otrzymał wyróżnienie w konkursie amatorów. Może to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk? – wyzłośliwia się Żurawiecki. O festiwalu w Kołobrzegu i Zielonej Górze nie chciała rozmawiać Zdzisława Sośnicka, muzyk Czesław Majewski, piosenkarze An-*

drzej Frajndt, Roman Gerczak i inni wyliczeni w książce.

Żurawiecki na szczęście obłożył się starymi programami festiwalowymi, dotarł do książek, relacji prasowych, „Gazety Festiwalowej” z Zielonej Góry i punktuje. A przy okazji prostuje różnorakie konfabulacje prasowe artystów, których sporo. W książce „Wariatka tańczy” piosenkarka Maryla Rodowicz stwierdza m.in., że juror, *niejaki Andrzej Januszko (...) podczas obrad podobno powiedział, że «Powołanie» to plagiat przedwojennej piosenki «Serce na śniegu».* Żurawiecki od ręki wyjaśnia: *Rodowicz trochę miesza się fakty, bo przecież «Serce na śniegu» to nie żaden przedwojenny szlagier, ale, jak pamiętamy, całkiem wówczas świeży przebój Arna Babadżaniana z repertuaru Muslima Magomajewa (s. 170).*

W innym miejscu swej książki Maryla Rodowicz opisuje bankiet na Festiwalu Piosenki Radzieckiej, który odbywał się po koncercie. *„Był tam również człowiek z KC, miły gościu zresztą, Adaś Kaczmarek [...]. Popijawa trwa w najlepsze i Adaś w pewnym momencie mówi coś w rodzaju: «Zielona Góra, staropolskie miasto». A ja: «Co ty gadasz? – I ciągnę go do okna. – Jakie staropolskie? Zobacz, to jest przecież niemiecka architektura». Na bankiecie mnóstwo oficjeli, polskich i radzieckich, więc Adaś wystraszył się nie na żarty. Złapał mnie za rękę, zatkał mi usta i udając ze się ze mną siłuję, przewrócił mnie na łóżko, które stało obok. Siłą mnie spacyfikował – stwierdza Rodowicz. Na co Żurawiecki replikuje, nie bez koniecznej z punktu widzenia logiki tego wywodu ironii: *Na bankiecie z udziałem oficjeli stało jakieś łóżko?... Tak czy owak, uczcijmy bohaterską postawę Rodowicz minutą ciszy (s. 197).**

Z rzetelnych ustaleń autora dowiadujemy się jednak nie tylko kto konfabulował lub wyczyścił po latach swój twórczy biogram, ale też, kto w danym roku był, co śpiewał, kto kierował jury, co donosiła prasa lokalna, a co – szczególnie w przypadku Kołobrzegu – krajowa, w tym centralne ograny Wojska Polskiego. Zdarza się też pisarzowi od czasu do czasu wybiec w przód i donieść czytelnikowi, jak potoczyła się później kariera takiego czy innego festiwalowego debiutanta lub kto z uznanych już artystów „zaszczycił” jedno lub oba wymieniane tu miasta. Pokazuje również jak zaskakująco ułożyły się później losy dawnych artystów. Np. aktor Janusz Zakrzewski – stały gość festiwali – śpiewa w Kołobrzegu nagrodzony za najlepszy tekst utworu „To twoja pieśń”. Pod koniec życia artysta (znany jako „etatowy Piłsudski”) jest współzałożycielem Komitetu Dobrego Imienia Polski i Polaków, który zajmuje się „odkłamaniem antypolskiej agitacji i promowaniem polskości”.

Ale jeszcze ciekawszym przerywnikiem, wtrętem, jest – z ówczesnej perspektywy nieco abstrakcyjne, z dzisiejszej już realne – odnoszenie sytuacji na występach kołobrzeskich, czy w trakcie śpiewania po rosyjsku do sytuacji... środowisk LGBT. Zaskakujące? Ale może uzasadnione?! Bartosz Żurawiecki pisze bowiem tak: *Mniejszości seksualne zaczęły, począwszy od końca lat sześćdziesiątych XX wieku, «wychodzić z szafy» – również*

w Polsce, choć u nas proces emancypacyjny zaczął się później niż na Zachodzie, właściwie po 1989 roku; najbardziej demonstracyjne «wyjścia z szafy» obserwujemy w ostatnich kilku latach. Tymczasem, według jego opinii, po 1989 artyści, wykonawcy, ludzie związani z oboma festiwalami, zostali do szafy wepchnięci lub dali się wepchnąć. I większość z nich siedzi w tych ciasnych pomieszczeniach do dziś. *Artyści zielonogórscy i kołobrzescy przeszli proces antyemancypacyjny. Zostali pozbawieni prawa do własnej historii. Do własnej opowieści* (s. 450). Wśród tych odwołań do tematyki LGBT-owskiej znajdujemy np. szlagier Kołobrzegu pt. „Jakie ładne chłopaki” wykonywany przez Irenę Woźniacką. W nim strofa: *Tęcza nad Polską, a była ulewa // Ziemia paruje, młode wojsko śpiewa*. Żurawiecki komentuje żartobliwie: *Tęczowe wojsko. «Jakie ładne chłopaki» to kolejna z kołobrzeskich piosenek, którą można by z powodzeniem śpiewać na Paradach Równości*.

Od sierpnia 1980 roku organizatorzy Kołobrzegu (zresztą Zielonej Góry także) mieli silną konkurencję. Pojawiają się oficjalnie nowe media, nowe imprezy tzw. solidarnościowe. Podczas Festiwalu Piosenki Prawdziwej w 1981 roku zmiany nastrojów, treści utworów można było z łatwością obserwować, później zaś się utrwały. *To powrót prawicowej, bogoojczyźnianej i często nacjonalistycznej (...) retoryki* – stwierdza autor książki. Uznaje też, iż ów nawrót otworzył szeroko drzwi seksizmowi i homofonii, używanymi jako metoda poniżania przeciwnika. *Walka z «komuną» i wszystkim, co się z nią w nawet nikłym stopniu kojarzy, szybko doprowadziła zarówno do wykluczenia z «solidarnościowej» narracji kobiet, jak i tego, że «prawdziwy Polak» stał się zaprzeczeniem «komunisty» i «pedała»*. *Do dzisiaj musimy się zmagać ze smutnymi konsekwencjami tego języka* (s. 341-342). Trzeba by uzupełnić, iż ów „powrót” to po prostu nawiązanie do najgorszych, sanacyjnych, piłsudczykowski tradycji narracji polskiej, czyli cofnięcie się (sic!) o ponad pół wieku. Siedzimy w tym głęboko do dziś...

Książka Bartosza Żurawieckiego okazuje się ważna z kilku powodów. Pokazuje przede wszystkim – krytycznie i dystansem – dwa wielkie, ważne wydarzenia muzyczne o zasięgu ogólnopolskim. Wyjaśnia ich charakter: że to nie tylko chwalebna przyjaźni polsko-radzieckiej i pieśni „polskojęzycznej armii” gen. Berlinga, która przeszła szlak Lenino – Berlin, ale przede wszystkim promocja polskich zdolnych piosenkarzy. Także kompozytorów, muzyków, aranżerów etc. Jak mówią niektórzy z uczestników, oba festiwale były wówczas tym, czym dziś jest „Szansa na sukces”, czy inne telewizyjne programy dla młodych i zdolnych.

Ponadto Żurawiecki stara się „przywrócić” pamięć, nie tylko tym artystom, którzy „zapomnieli”, że naszą ojczyzną jest Polska Rzeczpospolita Ludowa, ale i przeciętnemu (o ile sięgnie po nią) Polakowi, czytelnikowi tejże pozycji. Pokazuje znakomity niekiedy dorobek artystyczny/muzyczny tamtego okresu. Także i to, że wówczas było normalnie, śmiesznie, czasem głupio i pretensjonalnie, ale i miło

sympatycznie, mimo różnych problemów. Ujawnia na tamtym tle ważną dziś kwestię ruchu LGBT, pokazuje rolę mediów, polityków. I funkcję pamięci. Że – niestety – potrafimy wypierać z niej to, co nie jest „właściwe”, a zatem, że dajemy się *in gremio*, jako naród – łatwo oszukiwać. Nie świadczy to o nas dobrze. Jednakże opasła pozycja „Krytyki Politycznej” pokazuje również, że mimo wieloletniej prawicowej indoktrynacji ludzie w Polsce pamiętają piosenkę radziecką i żołnierską.

W jednym nie mogę się zgodzić z autorem: z dokonaną publicznie tzw. lustracją piosenkarki Reginy Pisarek. Przy czym nie podoba mi się również fakt, iż pisarze, dziennikarze korzystają niekiedy w swych pracach (a kilka takich miałem już w rękach) z akt, dokumentów pewnej niesławnej i kłamliwej z gruntu instytucji, której nawet nie chcę tu z nazwy wymieniać. Tym sposobem, niestety, Pisarek jako jedyna w liczącej blisko 480 stron książce została napiętnowana. Czy reszta tego środowiska to byli, są, już tylko anieli?

Eugeniusz Kurzawa



Bardziej być

Po lirycznym dyptyku o tematyce okołowojennej („Magnetyczni” oraz „Nieparzyści”) Eliza Segiet powraca z „Bardziej być” – kolejnym tomem wierszy tworzącym spójną opowieść. Tym razem obok podmiotu-przewodnika (filozof, mędrzec, miłośnik sztuki, natury i człowieka), prowadzącego nas po świecie poetyckim Segiet, mamy też żeński podmiot. Na naszych oczach kobieta będzie się przeobrażać ze zniewolonej istoty, szukającej potwierdzenia własnej wartości w czyjejś akceptacji w pewną siebie „podróżniczkę” (po świecie, ale i w głąb własnego ja), świadomą swojej wewnętrznej siły.

„Bardziej być” można odczytywać jako swobodną biografię kobiety doświadczoną przez los. Wyzwolona z toksycznego związku powoli staje na nogi. Zyskuje świadomość swojego ciała, wartości, jaką stanowi oraz własnych możliwości. Doskwiera jej osamotnienie, bo przecież wcześniej otaczała się bliskimi, oddawała całą siebie partnerowi, dzieciom, przyjaciółom. A teraz przyszedł czas, kiedy została sama. Miłość okazała się kłamstwem, liczne przyjaźnie – *iluzją*. Paradoksalnie, to ta dojmująca samotność pozwala podmiotowi na świeże spojrzenie, na ocenę własnego życia z dystansu. Kobieta wie, że czas nie działa na niczyją korzyść, że wraz z wiekiem coraz więcej nas ogranicza, dlatego nie zwleka i bierze sprawy w swoje ręce, pragnie... *bardziej być*.

Choć nie ma tu wyraźnego (choćby graficznego) podziału, to jednak możemy wyodrębnić dwie części tej lirycznej opowieści. W moim odbiorze ta druga rozpoczyna się od wiersza „Nowe otwarcie”, gdzie kobieta (podmiot-bohaterka) wyrusza w swoistą podróż życia. Od tego momentu Segiet pokazuje nam szereg

lirycznych widokówek. Jednak, poza atrakcyjnymi miejscami i hipnotycznymi pejzażami, poetka wskazuje też na to, co dzieje się w tle tych krajobrazów. Obok naturalnych ekspozycji, historycznych śladów czy artefaktów turysta może obejrzyć też te współczesne, budzące wstyd *pomniki własnej głupoty*.

Istotnym tematem w „Bardziej być” jest opozycja prawda – fałsz. Poetka piętnuje wszelkie przejawy kłamstwa – m.in. wszystkich pseudotwórców, którzy bazują na czyimś dorobku (*cieniom nie stawia się pomników*) czy oszustów wykorzystujących innych w celu zdobycia jakichś korzyści (fałszywe przyjaźnie). Zauważa też, że ukrywanie prawdy może być zjawiskiem bardzo skomplikowanym (np. dyktowanym wstydem lub strachem). Segiet jest także świadoma, że współczesny świat, coraz bardziej wirtualny, sprzyja takiemu modelowi życia (m.in. przybieranie tożsamości w zależności od okoliczności). Autorka ubolewa nad zatracaniem wszelkich wartości, mających swoje źródło w greckim kanonie etycznym (dobro, piękno, prawda).

Niezwykle wiele ważnych kwestii porusza w tym tomie autorka „Bezgrośnych”. Bo i wypowiada się w sprawie równouprawnienia (nie tylko w ujęciu feministycznym) czy wszechobecnej ignorancji, np. w kwestiach ekologii, prowadzącej nas do autodestrukcji, i zwraca uwagę np. na nasze pasje, dla których ryzykuje się życie, na twórcze działanie, ale i kopiowanie (*być jasnością czy odbłaskiem?*), na relacje interpersonalne (np. brak zainteresowania osobami starszymi), na stosunek ludzi do zwierząt i przyrody w ogóle (*dla zwierząt człowiek to śmierć, / dla człowieka / – zwierzę to życie*). Poetka zauważa też zanik ambicji i wartości u współczesnych, obojętność na problemy innych (np. w krajach Trzeciego Świata).

Nie brakuje tu także charakterystycznych dla liryki Segiet tematów, jak miłość (w różnych ujęciach), wpływ czasu, filozofia oraz Człowiek ze wszystkimi swoimi niedoskonałościami, bólami, lękami, ale i pragnieniami, sukcesami. Człowiek, który wiecznie się uczy, testuje własne możliwości, przekracza granice i nieustannie jest w drodze ku (samo) poznaniu.

W poezji Elizy Segiet nieustannie porbrzmiewają głosy osób, które na co dzień milczą, z różnych powodów. Są to m.in. ofiary prześladowań, przemocy domowej, niepełnosprawni, osoby o niskiej samoocenie, zmarli itp. Poetka oddaje głos ich lirycznym symbolom wierząc, że literatura ma moc oddziaływania na czytelników, że potrafi zatrzymać i zmusić do refleksji. Jednak Segiet mówi nie tylko w imieniu ludzi, pochyla się też nad tym, co tego głosu nie ma w ogóle – a więc, ogólnie mówiąc, nad przyrodą (ważny, choć tylko zasygnalizowany, motyw dbania o środowisko).

Świat wartości Segiet jest klarowny. Poetka, jak jej żeński podmiot, staje się orędowniczką *pokoju, równości i miłości*. Tu nie ma miejsca na *kłamliwe obietnice, przepadkowe ciosy czy polowanie na Człowieka*. Poetka opowiada się za miłością, bo to w niej upatruje źródła szczęśliwego współżycia ludzi i tego, co ich otacza. Kochać drugiego człowieka – tak mało, a dla niektórych jednak zbyt wiele. Kochać siebie i kochać przestrzeń, po jakiej się poruszamy – to najważniejsze bodaj przesłanie płynące z „Bardziej być”.

Kinga Młynarska

Szlakiem festiwali i salonów 2019

Tradycyjnie w ostatni weekend lipca, szturm wojsk napoleońskich na pruską Nysę i nasza „Bitwa w tle”. W tym roku zaproszenie Stasiewiczówki przyjął i spotkanie plenerowe poprowadził Zbyszek Niedźwiedzi Ravicz – prozaik i dramaturg. Autor *Grzechu przemilczenia, Przypadków małżeńskich, Błękitnej tożsamości* – powieści o księżnej Daisy von Pless ostatniej pani na zamku Książ i w Pszczynie. Pisarz zaprezentował zebrany fragmenty powieści. Opowiedział o dziesiątkach godzin spędzonych nad studiowaniem epoki, wizytach w archiwach i muzeach oraz wertowaniem starych katalogów mody. Rozmawiał z ostatnimi żyjącymi świadkami pamiętającymi „angielską panią”. Głos Zbyszka zagłuszał huk armat, rżenie atakującej konnicy, jęki rannych. Altanę Stasiewiczówki spowijał gęsty dym prochowy gryzący gardło. Tylko płukanie czerwonym, gronowym winem wyrabianym przez gospodarza pozwalało prowadzić zacieklą dyskusję. Pojawił się i Napoleon, któremu szpica doniosła, że w Nysie biesiadują literaci. Bo w 1807 roku w czasie oblężenia Śląskiego Rzymu przebywał w Gdańsku.

Tydzień później z Janem Szczurkiem ruszyliśmy na kolejny festiwal poetycki „Po obu stronach Morawy”, przypadający na Słowacji w malowniczej, choć pełnej kontrastów Senicy. Lubimy jeździć przez Czechy, bo w kraju naszych południowych sąsiadów czas płynie wolniej. Drogi dobre, przecinają pagórkowate zielonkawe zbocza, na których pasą się smutne mięsne krowy przeznaczone na rzeź. Nie to co w Polsce łąciate, mleczne, głaskane przez hodowcę po wymiączku – w oczach mają radość i zalotnie zerkają na byczka przy miedzy. To obserwacja znudzonego pasażera, gdyż w czasach nawigacji rola kierowcy polega głównie na zmianie biegów, trzymaniu kurczowo kierownicy i posłusznym wykonywaniu poleceń „Zośki” – skręć w prawo, skręć w lewo, trzysta metrów prosto! A gdy ona zamilknie stajemy się bezradni jak niemowlęta. Tego doświadczyliśmy w Hodoninie parę kilometrów od mostu granicznego na Morawie. Czy to złośliwość czeka? Chyba nie. Przypuszczam, że byli nami zachwyceni w zeszłym roku (zwłaszcza poetki) i nie chcieli oddać nas konkurencji.

Wielkie słowa uznania dla Vlado Petrovicia historyka, poety, potrafiącego połączyć wieczór poetycki w Zachorskiej Galerii sztuki współczesnej z muzyką klasyczną. Spotkanie ze starostą Sobotište, okraszone zwiedzaniem muzeum bohatera narodowego Samuela Jurkoviča, prelekcją na jego temat. Kosztowaniem regionalnej śliwownicy. Do dziś czuję jej moc. Wieczorem biesiada poetycka w Habańskim dworze. I prezentacja liryków na świeżym powietrzu. Program bardzo napięty, ale był czas na rozmowy kulturalne, czego owocem zaprezentowanie polskiemu czytelnikowi wyimka twórczości bułgarskiej poetki Dimany Iwanowej.

Żal było odjeżdżać, w oczach kobiet widziałem łzy. Pewnie jak zniknęliśmy za pierwszym zakrętem, policzki otarły i ruszyły do swoich mężczyzn.

Sierpień to Łądek Zdrój i Noc Poetów, która w ostatniej chwili została odwołana, a jednak poeci dotarli, by wesprzeć zdruzgotanego Zbyszka Kresowatego. W kawiarni artystycznej u „Klahra” wystąpili: Andrzej Dębowski, Jerzy Stasiewicz, Leszek Bragiel, Andrzej Walter, Joasia Massakowska. Barwił muzycznie poznański duet „Niebieska trawa”. Kilka słów o pomnikach piosenkarzy i poetów powiedział rzeźbiarz, profesor Marian Molenda. Po północy przenieśliśmy się do galerii „Krezbi”, racząc się chlebem ze smalcem i czerwonym winem, dyskutując o literaturze do białego rana.

Dwa miesiące później całkiem przypadkiem znalazłem się w stolicy w czasie 48. Warszawskiej Jesieni Poezji. W Domu Literatury zostałem obdarowany przez Aldonę Borowicz antologią. Poznałem czytowanego sporadycznie, lecz z przyjemnością – Stanisława Stanika – nazywając go bajazerem i gawędziarzem. Usiadłem wśród publiczności, którą by policzył na palcach jednej ręki, wsłuchując się w prezentowane teksty.

W październiku miałem zaszczyt być gościem Nyskiego Salonu Literackiego. Założonego przed laty na wzór salonów Anny Dymnej przez znakomitą aktorkę i krótki okres dyrektora domu kultury w Nysie Martę Klubowicz. Od tamtego czasu nabrał szalonego rozpędu. Dziś salon swoim nazwiskiem firmuje Małgorzata Anna Bobak-Końcowa – poetka, malarka, ilustratorka książek. Sala małej sceny im. Jerzego Kozarzewskiego pękała w szwach. Aż trudno uwierzyć, że w dzisiejszych czasach jest tylu miłośników poezji. Przedstawiłem utwory z ostatniego tomu *Powróciłem*. Spotkanie ubarwił muzycznie na saksofonie Paweł Brzeźnicki. Wieczorem przenieśliśmy się do Stasiewiczówki, bo poeci nie tylko słowem pisanym żyją. Tu kulinarnie zaprezentowała się Viola, a wypieki Danusi Zajac zniknęły w oczach.

Pod koniec miesiąca ruszamy z Joasią Słodyczką przygnaną przez dobre wiatry z Raby Wyżnej do Stasiewiczówki na XX jubileuszowe Dni Poezji w Broumowie. Lubię tam jeździć do ogromnego, posadzonego na wzgórzu klasztoru benedyktyńskiego, gdzie znajduje się kopia Całunu Turyńskiego z 1651 roku i gdzie został napisany największy rękopis świata *Codex Gigas*. W 1648 roku wywieziony do Szwecji jako zdobywcę wojenna. Tu Verze Kopeckiej udało się stworzyć miejsce magiczne dla poetów. Mury klasztoru ociekają poezją. Poezja wypełnia sale i cele klasztorne, unosząc się na klatkach schodowych i dziedzińcu. Jestem tu po raz... nawet nie wiem który?

Tak ucieka rok za rokiem, a na półce przybija kolejna antologia i kolejna. W tym roku oprócz festiwalowej *Na křídlech slov*, ukazała się jubileuszowa: *Pegas nad Broumovem* podsumowująca ostatnie dziesięciolecie. I moje wiersze się tam znalazły. Miałem także przyjemność napisać kilka słów wstępu pt.: „Będę tu powracał”. Rozpropagowałem go w polskiej prasie. Korzystając z tej antologii nasi czytelnicy mieli okazję poznać wiersze: Mirosława Kapusty, Vlado Petrovicia, Věry Kopeckiej, Sergieja Selkoviya w przekładzie na język polski Antoniego Matuszkiewicza.

Festiwal u Věry to także warsztaty literackie i referaty omawiające twórczość poetów pogranicza mających wpływ na literaturę światową. Wystawy malarstwa i fotografii, wycieczki w ciekawe miejsca i spacerki po okolicy. W tym roku otwarła swoje drzwi Galeria Sztuki Niezależnej w Ludwikowicach Kłodzkich, prezentując twórczość artystów fotografi-

ków z Polski i Czech. Wielką salę byłego kościoła ewangelickiego wypełnił głos poezji w kilku językach. W czasie tego spotkania odbył się benefis Věry Kopeckiej, otwarto wystawę jej zdjęć. Publiczność poznała Věru jako poetkę, fotografikę, rękodzielniczkę artystyczną, twórcę i gospodarza Dni Poezji w Broumowie, które na trwałe wpisały się w Polsko-Czeskie Dni Kultury Chrześcijańskiej. Tacy ludzie jak Věra Kopecka są motorem działań kulturotwórczych i nie znają barier urzędowo-biurokratycznych. Tutaj dane mi było spotkać poetę polsko-niemieckiego Karla Grenzlera.

W listopadzie na Międzynarodowy Festiwal Poezji „Poeci bez granic” im. Andrzeja Bartyńskiego do Polanicy Zdrój ściągają poeci z całego świata. Motorem tego przedsięwzięcia jest Kazimierz Burnat, prezes Dolnośląskiego Oddziału ZLP we Wrocławiu. Impreza zorganizowana z ogromnym rozmachem rozpoczyna się od lekcji poetyckich w szkołach w Polanicy Zdroju, Kłodzku, Bystrzycy Kłodzkiej, Nowej Rudzie. Składamy kwiaty przy pomniku Adama Mickiewicza recytując utwory wieszczka. Jest Hyde Park w kawiarni Bohema. Noc poetów połączona z prezentacją antologii festiwalowej: *Polanickie inspiracje* (nr 16) zgodny z edycją festiwalu. Starannie wydana, zawierająca utwory uczestników i gości. Opatrzona szczegółowymi biogramami. Najdłuższą drogę do Ziemi Kłodzkiej przebył Hassan al-Abdullah urodzony w Bangladeszu, wyedukowany na Uniwersytecie Nowojorskim, osiadły w USA skąd przybył. Niemało kilometrów pokonała Maria Mistrioti zamieszkała na wyspie Chalkida-Eubea (Grecja), bo kraje ościenne to prawie tutejsi.

Panele dyskusyjne, w tym roku hitem był esej Dariusza Pawlickiego „O bezkrytycznych krytykach”, który rozgrzał dyskutantów do krwistości w oczach. Świetnie zaprezentowali się Andrzejowie: Walter i Dębowski, a także Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz i Marek Wawrzkiwicz.

Szukaliśmy inspiracji w Parku Zdrojowym. Tu był czas na luźne rozmowy, wymianę książek, zanotowanie kontaktów. Wieczorem biesiada artystyczna, najbardziej luźny punkt programu. Widać kto ma zacięcie kabaretowe, kto spokój sumienia, a na kogo patrzeć nie można bo ugryzie. A wiadomo czy szczepiony? Duszą wszystkich był Kazio, ale wielu, także i ja odnieśliśmy wrażenie jakby się żegnał. Oby to było mylne spostrzeżenie.

W grudniu długo oczekiwana promocja almanachu *Powrót do Wieszczyny* będącego podsumowaniem zeszlenczonego pleneru poetycko-malarskiego, zorganizowanego przez niezmordowanych animatorów kultury Teresę i Witka Hreczanuków. Do małej Wieszczyny posadowionej na granicy jak kiedyś dysydenci ciągną poeci i malarze z Polski, Czech, Słowacji. Willa Frankla w Prudniku godnie przyjęła twórców pomieszczonych w tym wydawnictwie.

W tym samym czasie w Czechach ukazała się *Návratnost nóny* Františka Všetického. Utwory stylizowane na czeski renesans, dziesięciozłotkowy, dziewięć wersów, średniówka, układ rymów: abababccb. Czeski profesor poświęcił trzy utwory polskim przyjaciółom nadając tytuły: Kresowaty, Stasiewicz, Ossoliński.

I tak skończył się rok 2019, rok ciekawy, pełen wrażeń i kolejnych literackich doświadczeń...

Jerzy Stasiewicz

Filozofia codziennosci

prof. Marii
Szyszakowskiej (161)



Fot. Andrzej Dębkowski

W poprawnie używanej polszczyźnie sekta, to znaczy wyzwanie, które ma niewiele wiernych, a więc pojęcie to nie ma ani pozytywnego, ani negatywnego znaczenia. Na przykład chrześcijanie początkowo tworzyli sektę.

Funkcjonują dwa przeciwstawne poglądy. W myśl jednego z nich, człowiek jest istotą mięsożerną, a w myśl drugiego – roślinnożerną. Tego sporu nie da się rozstrzygnąć na drodze naukowej.

Wzmagają się u nas nawyki jedzenia mięsa z powodu licznych restauracji karmiących modnymi hamburgerami i kurczakami. Ponadto wegetarianie w Polsce mają kłopoty, bo mało jest restauracji. Są także kłopoty z jedzeniem wegetariańskim w przedszkolach, w szpitalach, więzieniach, w czasie wielu konferencji.

Wierzmy w moc naszego rozumu, a brakuje odpowiedzi zarówno dotyczących sposobu odżywiania się, jak i leczenia. Medycyna akademicka ufając jedynie „szkiełku i oku” podważa metody lecznicze Dalekiego Wschodu, które są skuteczne i mają za sobą wielowiekową tradycję.

Zdarzają się lekarze wyjątkowi jak profesor Zbigniew Garnuszewski, który wprowadził do Polski akupunkturę. Wiedzę o niej zdobywał, oczywiście, w Chinach. Twierdził – podobnie jak profesor medycyny Julian Aleksandrowicz – że nasze myśli wywierają wpływ na czynności narządów wewnętrznych i kierują naszym zdrowiem.

Profesor Kazimierz Imieliński używał terminu „sztuka leczenia” podkreślając, że nie wystarczają lekarstwa; zachodzi niezbędność uwzględniania psychiki pacjenta. Niewłaściwe dziś kształtowanie świadomości lekarzy sprawia, że sztuka leczenia w naszych pospiesznych czasach została porzucona. Owa sztuka leczenia uruchamia mechanizmy samoregulujące i samonaprawcze.

Nauka nie wystarcza do tego, by wyjaśnić w pełni zjawisko zdrowia i choroby. Zbigniew Garnuszewski twierdził, że dzięki akupunkturze i lekarstwom homeopatycznym zmienia się korzystnie pole elektromagnetyczne komórek i tkanek.

Również akupresura zbawienna dla

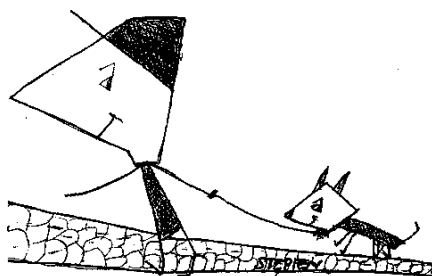
utrzymania zdrowia i odbudowująca je – pozostaje w Polsce właściwie nieznaną.

Zawdzięczam ogromnie wiele wybitnej znawczyni tej metody, pani Marii Klimkiewicz z Warszawy a zarazem ze Słowacji.

Sztuka i życie

Dzieła artystów i pisarzy pomagają nam budować i wzmacniać emocjonalny kontakt ze światem. Krzyk, łkanie, westchnienia, jęk, śmiech wyrażają coś więcej niż opis odpowiadających im stanów wewnętrznych. W niektórych dramatach Becketta język staje się znakiem wyrażającym najbardziej prymitywne potrzeby organizmu ludzkiego – a wymowa tych dramatów mimo ubogich dialogów pozostaje wstrząsająca.

Malarz wciągając odbiorcę w stan stopienia się ze stworzonym przez siebie dziełem, wyzwala umiejętność pełnego trwania w czasie teraźniejszym. Doznania są silne, bo wrażenia przerywają nasz bieg ku temu co będzie, bądź refleksje nad tym, co przeminęło. Umiejętność trwania w czasie, który jest i który nie powraca, jest cenna, ale coraz rzadsza w naszym obecnym świecie. Mam na myśli to, że większość naszego społeczeństwa nie chce rozstawać się z telefonem komórkowym, który nie pozwala na oddanie się chwili oraz osobom z którymi aktualnie przebywamy.



Rys. Jan Stepien

Sens sztuki jest doniosły i zacytuję tu słowa wielkiego aktora Jana Świderskiego wyrażone w jednym z wywiadów. Mianowicie powiedział, że przez kilka lat po zakończeniu II wojny światowej traktował teatr jak trybunę, z której wygłasza się sąd na temat świata.

Sztuka jest źródłem wiedzy o człowieku, o jego emocjach. Katalizuje ona te zakamarki człowieka, które nie mogą wyzwolić się pod wpływem werbalnego oddziaływania innych dziedzin świata kultury. Sztuka jest zdolna wyrwać z rutyny odczuć. Trudno pisać o znaczeniu sztuki, ponieważ istota jej oddziaływania nie może być bez reszty wyrażona w słowach. Sztuka pozwala spoglądać na codzienność w kształtach i barwach bogatszych i bardziej złożonych niż te, które na ogół dostrzegamy bez jej udziału. Odbiór sztuki, który też jest procesem twórczym, zindywidualizowanym, sprzyja samoświadomości. Magiczna moc wciągania odbiorcy w jedność ze stworzonym dziełem może przynieść poczucie wspólnoty.

Nie tylko sztuka, ale także nieznający gest, uśmiech nieznajomego przechodnia, godziny spędzone przy muzyce, spotkanie w

kawiarni – bywa, że rozrywają ochronną skorupę, pancerz, który nakładamy na siebie z lęku przed światem. Lęk oraz niewiara w siebie powodują błędne mniemanie, że nie należy wyznawać innym, nawet bliskim duchowo, swoich emocji. Ale być może nie każdy człowiek doświadcza mocno poczucia izolacji, któremu w literaturze pięknej przemijający obraz dał Kafka. Z moich obserwacji płynie refleksja, że wielu z nas jest tak mocno zagubionych w rytmie codziennych zajęć, że stany o których piszę mogą nie być ich udziałem. I to nie tylko rytm codziennych zajęć sprawia, ale także dążenie do wygody, do upodabniania się do funkcjonujących wzorów.

Obcujemy z konieczności na co dzień ze sztuką. Mam na myśli sztukę architektoniczną. Chodzimy po ulicach naszych miast, jak również wsi i nie zawsze zdajemy sobie sprawę z wpływu architektury na nasze samopoczucie, na nasz nastrój. Wąskie uliczki starszych części miasta przynoszą poczucie bezpieczeństwa, podobnie jak na przykład bramy starych kamienic. Nawet materiał budowlany, dawny sposób wypalania cegieł, przynosi odmienny efekt i oddziałuje na nas również, gdy nie uświadamiamy sobie tego. Podobnie wiejskie chaty, zwłaszcza drewniane są wkomponowane w krajobraz i przynoszą odczucie piękna – w przeciwieństwie do wysokich, często dwupiętrowych domów, które dziwnie wyrastają w wiejskim krajobrazie burząc jego harmonię.

Nie tylko to, co uświadomione oddziałuje na naszą psychikę. Dlatego też uleganie modom w dziedzinie architektury wnętrz bywa nieraz katastrofalne dla psychiki wrażliwego człowieka. Nie ma wątpliwości, że rujnuje harmonię wewnętrzną na przykład długotrwałe przebywanie w mieszkaniu, które jest obce psychicznie jego mieszkańców. A tak się dzieje, jeżeli ulega się naciskom mody, zamiast słuchać głosu intuicji, która podpowiada jak umebłować mieszkanie.

Nie ma spraw pozabawionych znaczenia. Również barwy ścian oddziałują korzystnie bądź nie. Nie powinno być zaleceń o charakterze uniwersalnym. Każdy z nas powinien tak kształtować wnętrze pokoi w których przebywa, by stanowiący emanacje psychiki mieszkańców. Równie niekorzystne jest podporządkowywanie urządzenia domu nakazom funkcjonalności. Lepiej mieszkać w nieco niewygodnym, niepraktycznie urządzonej wewnątrz, ale zaspokajającym poczucie piękna niż wybierać wartość wygody.

Interesujące z punktu widzenia architektury są na przykład budowle wzniesione przez wybitnych architektów w czasach hitlerizmu w Niemczech, czy we Włoszech, w czasach Mussoliniego. Potęgą tych gmachów, jak również układ i szerokość ulic staje się dla człowieka czymś miazdzącym. Podobny wpływ mają też kościoły. Człowiek odczuwa w nich swoją małość i potęgę nieznaną sił. Boskość wiąże się z siłą budzącą lęk i drżenie, by odwołać się do słynnych słów Kierkegaarda.

cdn.

Maria Szyszakowska

Moja walka z rakiem

(7)

19 kwietnia 2019, Wielki Piątek

Rano cukier na czczo miałem 92. W nocy twardo spałem przez 5 godzin nie wychodząc do łazienki. Dopiero gdy się obudziłem, poszedłem oddać mocz. Wszystko jest OK. Gdy wstałem zjadłem śniadanie, umyłem się i zająłem się swoimi obowiązkami. Dzisiaj też robiłem ostatnie przedświąteczne zakupy, głównie wędliny, ale także jabłka i ziemniaki. Potem poszedłem do czytelnii zapoznać się z bieżącą prasą. Na obiad jedliśmy wczorajsze ugotowane ziemniaki, teraz podsmażane na patelni i podane z jajkiem sadzonym. Do tego był kefir. Postne i dobre jedzenie. Zaliczyłem też podczas obiadu film przyrodniczy o Kostaryce. Po poobiedniej drzemce Halinka wybrała się do kościoła, a ja do biblioteki, by trochę poczytać i wziąć świąteczną prasę. W Wielką Sobotę MBP nie pracuje. Zaniósłem do domu, obejrzałem jeszcze przy herbacie bieżące wiadomości TVN, a potem przebrałem się i udałem na wielkopiątkową liturgię, która trwała do 19.30. Niestety, na Gorzkie Żale już nie zostałem. Zająłem się kolacją i kiedy mi się przypomniało, że mam jeszcze iść do kościoła, była już 20.30. Przed spaniem czytałem jeszcze dodatek do Rzplitej – Plus – Minus. Szczególnie zainteresowałem się artykułem Bończy Szablowskiego o Bułhakowie i polskich wydaniach „Mistrza i Małgorzaty”. Niesamowita historia! Poszedłem spać bez mycia o 21.30, taki byłem potwornie zmęczony. Za to wstałem w nocy przed 24.00 i przez 2 godziny jeszcze czytałem i pisałem.

20 kwietnia, Wielka Sobota

Rano udałem się do kościoła ze święconką, a potem jeszcze drobne zakupy, załatwienie. W południe przyjechała Patrycja z dziećmi. Rozmowa o strajku nauczycieli. Widzę, że jest tym wszystkim diabelnie zmęczona i chciałaby jak najszybciej wrócić do normalnych zajęć w szkole. Z Paulinką rozmawiam o szkole i pracach pisemnych z języka polskiego. Pytam ją o rodzaje błędów. Czy wie, co to jest błąd interpunkcyjny, ortograficzny, gramatyczny, stylistyczny. Jeszcze nie bardzo je rozróżnia, choć jest w 6. klasie. Próbowałem jej to wyjaśnić, dając kilka przykładów. Kiedy rodzinka się wynosi z domu, zabieram się za odkurzacz, by jeszcze coś zrobić przed drzemką i pójściem do kościoła. O 19.00 wybieram się na nabożeństwo wielkosobotnie, które trwa blisko 2 i pół godziny. Najważniejsze, że wytrzymuję, tak jak za dawnych czasów, przed chorobą nowotworową. Gdy idę do domu, duma rozpycha moją pierś. Czuję się zdrów. Po powrocie coś tam lekkiego przejadam, a raczej piję herbatę i zażywam moje lekarstwa na cukier i cholesterol. Nie chcę sobie dogadzać przed spaniem, by potem w nocy nie pokutować. Oglądam jakąś hollywoodzką

produkcję o Noem, wybrańcu Boga. Film fantasy. No, ale podanie biblijne chyba też ma coś z tego. Pewnie jest zapisaniem ówczesnych mitów i podań, które istniały w literaturze mówionej i pisanej, ale skompilowaną na potrzeby religii Mojżeszowej, jedynej w ówczesnym świecie, uznającej monoteizm.

21 kwietnia, niedziela wielkanocna

Rano obecność na mszy, potem świąteczne śniadanie i podzielenie się wielkanocnym jajkiem. Po śniadaniu, ponieważ Patrycja z dziećmi i mężem ma przyjechać dopiero o 13.00, jedziemy do lasu. Zabieram ze sobą jeszcze karmę dla psów, które są w leśniczówce. Robimy z Halinką jedną pieszą rundę, co zajmuje nam około jednej godziny. Po drodze mijamy kilka osób, które uprawiają w lesie jogging lub nord walking. Wracamy na parking, gdzie stoi nasz samochód. Spoglądam na plac, gdzie trwają intensywne prace budowlane. Są na nim obiekty pomyślane dla dzieci: a więc różnego rodzaju huśtawki, drabinki do wspinania, liny itp. Przy „grzybku”, który służy do rekreacji i organizowania plenerowych imprez od jesieni ubiegłego roku, trwają cały czas prace modernizacyjne. Dzięki mojej interwencji u prezydenta miasta naprawiono też porządną drogę.

W domu piję jeszcze piwo, bo pogoda była piękna i czuję w gardle suchość, oglądam także transmisję w TV z Watykanu, wiadomości o zamachach terrorystycznych na Cejlonie na kościoły i hotele, w których ginie ponad 200 ludzi, a 450 jest rannych, a niebawem słyhać dzwonek. To Patrycja z mężem i dziećmi. Zaczyna się świąteczna rozmowa i biesiadowanie. Halinka stawia na stole wędliny, sałatki i 2 torty. Za godzinę przychodzi brat Halinki z żoną. Chcę zrobić pamiątkowe zdjęcia, ale zablokowała mi się karta pamięci. Nie umiemy tego rozwiązać: ani Krzysiek, zięć, ani ja, ani Mietek, brat żony. Udaje mi się to dopiero, gdy Patrycja z rodziną wraca do domu teściów, gdzie zawsze gości, gdy przyjeżdża na święta.

Po gościach czas na drzemkę i lekturę, tak do wieczora. Po 9.00 oglądam jeszcze trochę film w TV „Ale Kino” o królowej Wiktorii. Nie czuję wcale mojej choroby, a dr. Godlewski przesłał mi esemesa, że chce mnie w lipcu operować i wyciąć mi pęcherz moczowy, na którym ponoć są dwa guzy. Ale ja tego nie czuję. Wszystko wróciło przecież do normy, nawet moja waga – 67,5 kg, a przede wszystkim oddawanie moczu, tak jak dawniej, bez biegania w pośpiechu do toalety. Naprawdę.

22 kwietnia, poniedziałek wielkanocny

Też podobnie jak wczoraj byłem rano w kościele na mszy o 8.00. Ksiądz zamiast kazania czytał z tej okazji list rektora KUL. Te listy są na ogół wyważone i napisane językiem publicystycznym, który mnie nie razi, inaczej jak niektóre homilie. Ludzi w kościele pełno, podobnie jak w Wielkim Tygodniu i wczoraj. Jak widać Polska nie poddaje się łatwo laicyzacji. Widać nasze przywiązanie do wiary i tradycji jest większe niż na Zachodzie. No i inna historia.

Po śniadaniu pojechaliśmy na krótki, go-

dzinny spacer do Ciemnego Kąta. Szybko przyjechaliśmy, bo miała przyjechać Patrycja z rodziną. Niestety, przesunęła to dopiero na godzinę 15, bo musiała poczekać na obiad u teściów. Stamtąd przyjechali do nas, a od nas prosto już do Tarnowa. Posiedzieli chyba z godzinę. Porozmawialiśmy trochę z Krzyskiem o naszej gospodarce i prawach ekonomicznych, podałem adres dekarza w Tarnowie, bo nie mógł znaleźć do tej pory żadnego fachowca, zrobiłem im też okolicznościowe zdjęcie. Na długi weekend przecież już nie przyjadą, a zresztą mnie wtedy nie będzie, bo będę w szpitalu na chemii. Potem poszedłem na spacer do parku miejskiego, a gdy wróciłem przy kolacji obejrzałem na TV Historia odcinek serialu „Duma i uprzedzenie” opartego na znanej dziewiętnastowiecznej powieści angielskiej autorki.

Czuję się w czasie świąt bardzo dobrze, jem wszystko, a Halinka mi powiedziała to, co wyczytała w Internecie, że według niej mój nowotwór spowodowała bakteria nosząca nazwę „paciorkowiec kałowy”, którego wcześniej zdiagnozowała w moim pęcherzu dr Sienkiewicz na podstawie badania moczu. Ponieważ wziąłem przez nią zaordynowany lek, prawdopodobnie nowotwór przestał się rozwijać i rozrastać. Oby to się sprawdziło! Czyżbyśmy do tego doszli sami! Przypadek! Pewnie tak, ale ja ten zbieg szczęśliwych okoliczności nazywam prawdziwym cudem. Muszą to jeszcze potwierdzić lekarze.

23 kwietnia

Rano jedziemy do Vivo, bo Halinka chce kupić buty. Idę do samochodu, chcę zapalić silnik, a tu nie działa zamek centralny. Próbuje nerwowo jeszcze raz. Nic z tego, wysiadł akumulator. Idziemy zatem do garażu i jedziemy maluchem. Czasami dobrze jest mieć 2 samochody. Robimy spacer po galerii i wchodzimy wszędzie tam, gdzie są sklepy obuwnicze. Niestety, nie ma odpowiednich butów. Wracamy do domu i od razu zajmuję się wyciągnięciem akumulatora z mojego hyundaia. Wiatr wieje z siłą 70 km na godzinę. Wreszcie się z tym uporałem. Niosę akumulator do łazienki i podłączam do prostownika. Na początku wygląda na to, że chyba nic z ładowania nie będzie. Być może akumulator już padł całkowicie. Podejrzana widzi mi się jego marka. Ale pod wieczór wskazówka się wychyla o jedną kreskę, potem już prawie w nocy o drugą, a więc jest nadzieja, że nie będę musiał rano jechać do sklepu po nowy akumulator. Oszczędzam zatem co najmniej 200 zł. Rzeczywiście, nad ranem moc akumulatora dochodzi prawie do jedynki. Tak wskazuje prostownik.

Czuję się coraz lepiej, zażywam normalnie swoje lekarstwa na cholesterol i cukrzycę. Ważę już 2 kg więcej. Przekroczyłem 69 kg. To też dowód na cofnięcie się choroby nowotworowej. Ale wszystko muszą potwierdzić badania lekarskie.

24 kwietnia

Rano idziemy do PKO BP, by razem z doradcą założyć nasze konto. Chcemy na nim

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

Rafał Gawin, *Jem mięso*. Ilustracje: Piotr Molski. Projekt okładki: Jakub Rakusa-Suszczewski, Anna Matysiak. CONVIVO Anna Matysiak, Warszawa 2019, s. 42.

Jacek Maria Hohensee, *Przejście podziemne*. Projekt okładki: Daria K. Kompf. Zdjęcie autora: Konrad Hohensee. Fundacja Duży Format, Warszawa 2019, s. 48.

Jarosław Jastrzębski, *Kiedy poecie śnią się motyle*. Projekt okładki: Daria K. Kompf. Zdjęcie autora: Maria Kuczara. Fundacja Duży Format, Warszawa 2019, s. 56.

Janusz Kryszak, *Koniec sezonu*. Postłowie: Paweł Tański. Wydawnictwo IBD, Toruń 2019, s. 38.

Maciej Krzyżan, *Duszyczka*. Zdjęcie na I stronie okładki i wewnątrz tomu: Zuzanna Krzyżan. Zdjęcie na IV stronie okładki: Krzysztof Szymoniak. *Biblioteka Poezji/ Biblioteka „Toposu”*, tom 172. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu” Sopot 2019, s. 48.

Grażyna Lutosławska, *Ja ty my wesołe i rzewne, niektóre o miłości*. Projekt graficzny: Kolektyw kilku.com Idalia Smyczyńska, Robert Zajac. Fotografia autorki: Bolesław Lutosławski. Wydawnictwo Episteme, Lublin 2019, s. 104.

Piotr Łączyński, *Osiółek i jego cień*. Seria *Kolej na literaturę*, tom 2. Stowarzyszenie Promocji Twórczości Villa Foksal, Grodzisk Mazowiecki 2019, s. 76.

Anna Matysiak, *Tiergarten*. Projekt okładki: Grzegorz Fijas. Projekt typograficzny: Magda Ebert. Na okładce wykorzystano fotografię autorstwa Anny Matysiak. Seria *Szumy, zlepy, ciągi*, tom 7. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2019, s. 62.

Monika Milczarek, *Uwaga nie dotyczyć*. Projekt okładki: Daria K. Kompf. Zdjęcie autorki: Mariusz Mikołajczyk. Fundacja Duży Format, Warszawa 2019, s. 56.

Janusz Nowak, *Tolle, lege*. Zdjęcie na I stronie okładki: Gabriela Habrom-Rokosz. Zdjęcie na IV stronie okładki: Oliwiu Szymkiewicz. *Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”*, tom 171. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2019, s. 68.

Mariusz Olbromski, *Powroty do Krzemieńca*. Przekład: Walentyna Soból. Fotografie: Walentyna Tomczuk i Jan Skłodowski. Przekład wstępu i postłowie: Świetlana Wynnyczenko. Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2019, s. 64.

Janina Osewska, *Do czasu przyszłego / Until the time to come*. Przełożyli na język angielski: Karol Chojnowski i Desmond Graham. Koncepcja graficzna: Janina Osewska. Opracowanie graficzne: Artekst Kazimierz Sobocki. Fundacja Słowo i Obraz, Augustów 2019, s. 80.

Stanisław Raginiak, *Moje Crow Siver. Poemat*. Projekt okładki: Damian Łukasz Tarkowski. Wydawnictwo Horyzont Idei, Toruń 2019, s. 72.

Agnieszka Rautman-Szczepańska, *Święta Helisa od Neuronów*. Projekt okładki: Daria K. Kompf. Fundacja Duży Format, Warszawa 2019, s. 50.

Jan Strządała, *Ułamek*. Projekt graficzny i opracowanie okładki: Karolina Koszuta. Zdjęcie na okładce i wewnątrz tomu: Iwona Suwała. Wydawnictwo „ARKA 2015”, Gliwice 2019, s. 74.

Czesław Mirosław Szczepaniak, *W Kopanie, tam gdzie...*. Projekt okładki: Paweł Piotr Szczepaniak. Opracowanie typograficzne: BILBO. Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie, Tarczyn 2019, s. 60.

Janusz Szuber, *Próba dębu / Teste do carvalho*. Układ tomiku i tłumaczenie na język portugalski: Zygmunt Wawrzyniec Wojski. Na okładce: Zdzisław Beksiński, *EV*, 1986. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Toronto, Rzeszów 2019, s. 72.

Grażyna Zambrzycka, *Ślady*. Opracowanie graficzne: Janusz Górnicki. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Toronto, Rzeszów 2019, s. 64.

Marian Zembala, *Spełniony*. Redakcja: Jacek Lubart-Krzysica, Barbara Gruszka-Zych. Postłowie: Andrzej Walter. Okładka: zdjęcie autora, fot. K. Matuszyński. Wydawcy: Oficyna Konfraterni Poetów – 1986. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2020, s. 46.

Dominik Żyburto, *Remediorium*. Na okładce: Damian Pacha, *Urwisko*, collage 2015. Fundacja Kultury AFRONT, Bukowno 2019, s. 60.

PROZA

Jolanta Pietz, *Cień zegara słonecznego*. Projekt okładki: Dana K. Kompf. Fundacja Duży Format, Warszawa 2019, s. 242.

Jan Polkowski, *Portier i inne opowiadania*. Projekt okładki: Marcin Ekert. Fotografia autora: Józef Ruszar. *Biblioteka Literacka Kwartalnika „Nowy Napis”, Biblioteka Prozy /Biblioteka „Toposu”*, tom 173. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Instytut Literatury, Kraków- Sopot 2019, s. 152.

Zadie Smith, *Grand Union*. Przełożyła: Maria Makuch. Projekt okładki: Michał Pawłowski. Wydawnictwo Znak, Kraków 2019, s. 240.

Stefan Türschmid, *Tancerz*. Postłowie: Konrad W. Tatarowski. Projekt typograficzny: Pracownia Mole. Projekt okładki: Łukasz Zbieranowski / Fajne Chłopaki. *Biblioteka Literacka Kwartalnika „Nowy Napis”*. Instytut Literatury, Fundacja Lethe / Animi2, Kraków 2019, s. 136.

Ina Wyliczanowa, *Wyspa Krach*. Przełożyła: Hanna Karpińska. Projekt okładki i stron tytułowych: Rafał Kucharczuk. Wydawnictwo Ezop, Warszawa 2019, s. 252.

Małgorzata Żurecka, *Nusia*. Opracowanie

redakcyjne i postłowie: Jerzy J. Fąfara. Projekt okładki: Jan Tulik. Wydawca: Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu w Rzeszowie, Rzeszów 2019, s. 184.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Stanisław Dziedzic, *Antynomie ładu i niezgody. Krakowskie studia do portretów*. Na okładce: Leon Wyczółkowski *Widok na kościół Mariacki i kościół św. Barbary*. Kraków 2019, s. 240.

Magdalena Dziedzic, *W czasach szaleństwa. Hertz. Filozofów. Stempowski. Moltke*. Postłowie: Anna Wolff-Powęska. Projekt okładki: MaKaKa. Wydawnictwo Agora, Warszawa 2019, s. 688.

Jan Gać, *Moja Ziemia Święta*. Redaktor prowadzący: Justyna Maluga. Redakcja i korekta: Ludmiła Kucharska / Manufaktura Pióra. Fotografie: Jan Gać. Opracowanie graficzne: Michał Mierzejewski. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2020, s. 332.

Adrian Gleń, *Stasiuk. Istnienie*. Projekt okładki i layout: Katarzyna Turkowska. Fotografia na I stronie okładki: Arek Markowicz. Seria *Projekt: Egzystencja i Literatura*. Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2019, s. 220.

Tadeusz Konwicky, *Iwan Konwicky z domu Iwaszkiewicz*. Ilustracje: Danuta Konwicka. Wstęp: Ludwika Włodek. Postłowie: Maria Konwicka. Projekt okładki: Maria Gromek. Fotografia na I stronie okładki: Tadeusz Rolkę / Agencja Gazeta. Wybór i opracowanie: Dorota Gruszka. Projekt typograficzny: Maria Gromek. Współpraca: Irena Jagocha. Wydawnictwo Znak, Kraków 2019, s. 178.

Paweł Kozłowski, *Niekiedy. Dziennik profesora nadzwyczajnego, kontynuacja*. Opracowanie graficzne: Wojciech Markiewicz. Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2019, s. 198.

Wojciech Łęcki, *Szpilki w rozsypce*. Projekt okładki: Robert Rumak. Zdjęcie na okładce: Dmitriy Sladkoy. Wydawnictwo Psychoskok, Konin 2019, s. 124.

Magdalena Śniedziewska, *„Osobiste sprawy i tematy”. Gustaw Herling-Grudziński wobec dwudziestowiecznej literatury włoskiej*. Projekt graficzny: Jan Pietkiewicz. Fotografia na I stronie okładki: Bohdan Paczkowski / FOTONOYA. Instytut Badań Literackich PAN Wydawnictwo, Warszawa 2019, s. 294.

Waldemar Wołk-Karaczewski, *Nasz danseur noble*. Idea albumu i wstęp: Zofia Humięcka. Opracowanie: Paweł Chynowski. Opracowanie graficzne: Wanda Mierzejewska. Towarzystwo Miłośników Ziemi Ciechanowskiej, Ciechanów 2019, s. 140, w tym ilustracje. Wydawnictwo bezpłatne.



Realizm magiczny w powieści Anny Mizgajskiej

(Dokończenie ze strony 13)

Natomiast w scenie katharsis dochodzi do ich fizycznego zespolenia.

„Tu i teraz było najgorszym z piekieł. Postanowił rozprawić się z przeszłością. Wrócić do początku istnienia i urodzić się na nowo”.

Zanim jednak nastąpi kulminacyjna scena krok po kroku, rozdział po rozdziale poznajemy przypadłości, mroczne zakamarki i zranione psychiki tych siedmiorga. Stopniowo budowane są ich portrety zyskujące nawet horyzontalny wymiar. Kolejne odsłony, sygnalizacyjnie acz mocno postawione, są przyczynowo-skutkową układanką indywidualnych losów, życia naznaczonego lękami i krzywdą wypartą z pamięci w ten czy inny sposób. Realność książki w tym względzie jest szorstka i bezwzględna. Obrazy same stają przed oczyma. Bo czy jest ktoś, kto nigdy nie słyszał o historiach znęcania się ojca nad synem, w następstwie których lawinowo uruchamia się empatyczne odczuwanie? Lub nie zna słów ogromnie wychowawczych: to wypadła dziewczynkom, a tego nie wypada robić?

Równouprawnienie nie daje niezbędnej hierarchii, która jasno określa społeczną rolę kobiety jako czułej strażniczki domowego miru, mitej towarzyszkii męskiej dominacji.

Dlaczego więc chwilami mamy poczucie, że dryfujemy w jakichś oparach, niejednoznacznościach, że wpadamy w nierealny świat, a uczynki bohaterów czy sytuacje uznajemy za niemożliwe? Zupełnie tak, jakby książka miała dwa oblicza. Z jednego bije niepokojący realizm i obrazy wprost z życia wzięte, namacalne, które nie miały prawa się zdarzyć, a jednak zdarzają się i są czyjąś codziennością (i mamy tę pewność). Z drugiego – dziwność, maligna, magiczne pogubienie i nadzwyczaj pokręcony świat z tajemniczymi istotami z bóg wie jakiej organizacji konspiracyjnej. Mentalność książki z wyraźną biegunowością jest sporą jej zaletą. Ciężkie treści równoważone są rodzajem nieważkości. Wątki i osnowy tak są ze sobą splecione, że stanowią intrygujący obraz i nieprzegadany (ograniczenie tylko do dialogów koniecznych). Zaskakuje jeszcze narracja, ogromnie wciągająca.

„Alkoholiczka przeżywała na nowo swoje życie – podobnie jak w chwili śmierci, w ułamku sekundy zobaczyła największe upokorzenia – wszystkich kochanków matki, którzy ją wykorzystywali, wszystkie przyjaciółki, które ją opuściły, wszystkie aborcje i próby samobójstwa. Nienawidziła swojego życia – nie dlatego, że było brutalne i niesprawiedliwe – nienawidziła go, bo nie umiała przerwać.

Instykt samozachowawczy w ostatniej chwili ratował ją ślepo, urągając wolnej woli”.

Alkoholiczka (z cytatu) to wspomniana wcześniej Jagoda, która pewnego dnia trafia tam, gdzie i pozostała szóstka – do pracowni Ryszarda Zadry, artysty malarza dopełniającego zbiór głównych bohaterów. Jako modelka wzięła udział w (zbiorowej) sesji u artysty, ażeby zarobić na alkohol, a doznaje terapeutycznego wstrząsu podczas orgii. Autorka wymyśliła tę scenę katharsis, by starły się w niej ciała i emocje tych siedmiorga okaleczonych. Ale czy wszyscy dostępują oczyszczenia? I czy dowiadują się o sobie więcej, niżby chcieli? Zapewniłam, że ciekawość czytelnika zostaje zaspokojona.

„Tym razem z biorcy stawała się dawcą. Instyktownie wyczuwała kolejne potrzeby obcych ciał. Wiedziała, które ciało pragnęło przytrzymania, które głaskania i czułych dotyków, a które spełnienia. Kochała się właśnie z muskularnym, starszym mężczyzną, czując jak ich oddechy bez wysiłku się synchronizują. Teraz ona była dla niego podporą, matką, kochanką i żoną w jednym. Nie musiała patrzeć, by wiedzieć, że on teraz doświadcza cudu przemienienia”.

Opisy są mocną stroną książki. Plastyczne, zmysłowe, cielesne. Dosłownie „na dotyk” (Autorka jest fotografką). W nieoczywistych scenach splątania (inscenizacja bitwy pod Termopilami) czujemy zapach skóry i jej ciepło. Narrator wodzi (niczym opuszkami palców) z geograficzną dokładnością po nagich i niepięknych ciałach, które z jakiegoś powodu nabierają magicznego powabu. Realno-magicznej perspektywy (koncepcji) dopatrzmy się i w pozostałych zabiegach realizacyjnych (nieliniarny czas, labilna przestrzeń, sensualność czy seksualność). Z jednej strony szeroko otwarte oczy, a z drugiej – szeroko zamknięte. Zdajemy sobie sprawę, że Autorka przedstawia nas w pewnych momentach na odbiór zmysłem dotyku. Tak jak robią to w transie jej bohaterowie, jakby dotyk był tym upragnionym i uprawnionym, by docierać do najskrytszych głębi i z totalnością dokonywać resetu.

„Ucisk stawał się lżejszy. Ktoś otarł jej łzy z policzków, ktoś inny zaczął delikatnie głaskać jej włosy. Całować. Ona oddała się – czuła, jak jej ciało dryfuje w ciepłym oceanie. Poczuła miłość do oceanu – wiedziała, że ocean ją kocha, a po chwili sama była oceanem i znów pokochała siebie”.

Tej książki nie porzuca się na entej stronie. Sposób opowiadania uwodzi i wodzi czytelniczą wyobraźnię po manowcach. Ale wybaczymy – o dziwo – odważne sceny i rozgrzeszamy jej bohaterów. Wszak pozostajemy w aurze realizmu magicznego.

„– Pieśćcie się, masujcie, dotykajcie, to wszystko kwestia dotyku – mawiał, przechadzając się między nimi, a oni, na moment, naprawdę byli szczęśliwi”.

Polecam debiutancką powieść Anny Mi-

zgajskiej, która zdobyła główny laur w Konkursie na Autorską Książkę Literacką – Świdnica 2019. Nagrodą było wydanie jej przez Bibliotekę Publiczną im. Cypriana K. Norwida w Świdnicy i zapewne tam jest dostępna.

Elżbieta Musiał

Anna Mizgajska, „Kwestia dotyku”. Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana K. Norwida w Świdnicy, 2019, s. 100.

Moja walka z rakiem

(Dokończenie ze strony 22)

trzymać wszystkie nasze obligacje. Potem Halinka biega po sklepach i szuka butów, a ja wracam do domu, by zainstalować w samochodzie akumulator. Robię to wszystko powoli i trochę ze strachem, by nie popełnić jakiegoś błędu. No i udaje się. Akumulator działa. Zapalam silnik. Potem przynoszę z łazienki prostownik i odprowadzam malucha do garażu. Po zjedzeniu zupy idę do biblioteki, bo przejrzeć dzisiaj prasę. Jest nowy podwójny – ze względu na zbliżający się majowy weekend – numer Polityki. Jak zawsze wiele ciekawych artykułów, felietonów. Przeczytałem z ciekawością historię ks. pedofila, pracującego na terenie diecezji wrocławskiej i bydgoskiej. Prerażająca historia! Tyle czasu spędziłem w kościele, w seminarium, ale nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Mimo wszystko, mimo błędów popełnionych przez duchownych, także biskupów, będę jednak bronił znaczenia Kościoła jako wspólnoty. Niestety, takie przypadki należy ostro tępić, a takich duchownych usuwać ze stanu kapłańskiego, a nie przenosić na inną parafię, gdzie robią zazwyczaj to samo co przedtem.

Nadal trwa strajk nauczycieli. Jestem po stronie strajkujących. Trzymam za nimi kciuki, nie tylko dlatego że jestem emerytowanym nauczycielem, nauczycielką jest także Patrycja, ale także dlatego że zbyt wyraźnie widzę obłudę władzy, arogancję Morawieckich, Zalewskich, Sztybelów itp. Chcą głodem wziąć nauczycieli. Kiedy myślę o tych miliardach złotych wydanych na likwidację gimnazjów i reformę podjętą wcześniej, to szlag mnie trafia, że teraz brakuje pieniędzy na podwyżki. I nie mają wcale ochoty uderzyć się w piersi, ale proponują propagandową imprezę, która ma się nazywać „debatą o reformie oświaty” i odbywać na Stadionie Narodowym. Istny teatr. Brakować będzie jeszcze tylko o. dyrektora z Torunia.

Mirosław Osowski

Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.